

Kara Jagowska

MARTWA NATURA Z KROKODYLEM

SCENARIUSZ FILMOWY

Zasadnicza akcja rozgrywa się w jednym mieście i w kilku językach.

1.

Wykwintna kaligrafia cytatu: „Na pierwszym planie widać krokodyla, który stanowi bez wątpienia arcydzieło kunsztu malarskiego; lecz ruch jego mógłby być ciekawszy” – z podpisem: Eugène Delacroix.

2.

Napis, najlepiej biało na czarnym: „1921”.

3.

Za oknem nieprzenikniona ciemność. Vance, opierając się ciężko o ścianę, z czołem przyklejonym do framugi, usiłuje jednym okiem przebić się przez czernię, ale w podwójnej szybie może dostrzec tylko niezbyt wyraźny półprofil. Odbicie jego własnej twarzy na granicy światła i nocy.

Odwraca się zmęczony. Niedaleko stoi samotne krzesło – Vance siada, nie wypuszczając z ręki eleganckiej laski i nie zdejmując rozpiętej pelisy, chociaż blisko jest wysoki piec i jakiś człowiek w mundurze podkłada właśnie do ognia polano za polanem.

W drugim końcu sali, urzędowo podzielonej na dwie nierówne części niewysoką drewnianą barierką z półotwartą furtką pośrodku, rozlokowała się grupka żołnierzy. Od czasu do czasu dobiega z ich kąta niezrozumiały szmer leniwie toczącej się dyskusji. Nad nimi portret Karla Ulmanisa, podpisany zbyt małymi literkami, żeby je można było odczytać, a obok duża mapa niewielkiego państwa: bladobłękitna plama morza i fragment Europy.

Kara Jagowska, ur 1955, absolwentka polonistyki, redaktorka. *Martwa natura z krokodylem* jest jej debiutem dramatopisarskim.

Vance odruchowo, bez większego zainteresowania, wpatruje się w to, co wisi na ścianie, obojętnie przesuńjąc się wzrokiem nad scenką, która rozgrywa się przed nim. Oficer zza biurka, ustawionego za przegrodą, rozmawia z siedzącym vis-à-vis mężczyzną o szerokich barach i płomiennych włosach. Z bliska wojskowy wydaje się trochę za subtelny do służby, jaką pełni; manieri ma nienaganne, w kilku obcych językach mówi doskonale.

OFICER ...bardzo dziwną podróż. Chciałbym poznać pańskie zdanie, panie Christiansen. Jeśli wolno spytać – czy nie sądzi pan, że misja tego kuriera może mieć jakiś wpływ na podpisanie traktatu pokojowego z Polską?

Elegancko ubrany rudy olbrzym, promieniujący aroganckim poczuciem siły, uśmiecha się z perfidią próżnego dzieciaka.

CHRISTIANSSEN Skąd mogę to wiedzieć – jestem przecież kupcem. Duńskim kupcem – nikim innym. Korzystam jedynie z okazji, która się nadarzyła, bo chcę wrócić szybko do swego przedstawicielstwa.

OFICER Tak, oczywiście, ale wiem, że pan wie wszystko i zna wszystkich...

CHRISTIANSSEN Cóż... Według mnie podpisanie traktatu to tylko formalność. Na froncie polskim już od jesieni nic się nie dzieje i dzieć się chyba nie będzie. Myli się więc pan całkowicie, bo bierze pan skutek za przyczynę! Misja tego kuriera nie będzie miała żadnego wpływu na rokowania: właśnie dlatego, że wszystko jest postanowione – mane, thekel, fares – posyłają ekspresem swojego człowieka... Skądinąd słyszałem, że podobno dzisiaj uzgodniono wreszcie jakieś sporne protokoły...

OFICER Doprawdy?

CHRISTIANSSEN Ach, drobiazgi, zdaje się, że w sprawie repatriacji. Możliwe, że kurier jedzie z wiadomością, że mają teraz zupełnie wolne ręce. Zapewniam pana, że bardzo by im zależało na tej nowinie... To wszystko, rzecz jasna, to wyłącznie moja prywatna, powiedzmy, fantazja polityczna.

OFICER Moje pytanie też było całkowicie prywatne... Dziękuję, panie Christiansen. Jestem wdzięczny, że mogłem poznać pańską opinię.

CHRISTIANSSEN Wyobrażam sobie. Żyjecie jak na wulkanie. Jeśli chce pan wiedzieć, sądzę, że będziecie mieli teraz spokój.

OFICER Jakiś czas...

Jego słowa wydają się rozpraszać w beznadziei. Duńczyk bawi się nimi powtarzając je jak echo, z odcieniem ironii.

CHRISTIANSSEN Jakiś czas, tak...

Wojskowy wraca na chwilę do papierkowych formalności: pieczęć, podpis, zwrot dokumentów. Zegnają się szybko, ale z wyszukaną grzecznością. Olbrzym zgamia futro, przewieszzone przez barierkę. Wychodząc, jeszcze przystaje, by bezceremonialnie ponaglić towarzysza podróży.

CHRISTIANSSEN Teraz pańska kolej, Abbott! Niech pan nie śpi!

Vance podnosi się i niemrawo, z bagażem senności, kieruje się w stronę biurka. Kilka wstępnych, wzajemnie uprzejmych gestów, kiedy zajmuje miejsce Christiansena. Oficer przegląda jego paszport.

OFICER Pańskie nazwisko?

VANCE Abbott.

OFICER Imię?

VANCE Vance.

OFICER Niedługo pańskie urodziny.

VANCE 5 marca 1895.

OFICER Nie pytałem o pańską datę urodzenia. Zastanawiam się tylko, gdzie je pan zamierza obchodzić.

Vance milczy, udając, że w tej uwadze nie zawierało się pytanie.



Kara Jagowska

OFICER Od jak dawna jest pan w podróży?

VANCE Parę dni, prawie tydzień. W hotelach nie zawsze można dobrze się wypaść.

OFICER Pan jest Brytyjczykiem?

VANCE Tak. Ale od zakończenia wojny mieszkam we Francji. Pracuję tam.

OFICER A jaki jest pański zawód?

VANCE Zajmuję się handlem.

OFICER Jak pański poprzednik, pan Christiansen... Dobrze go pan zna?

VANCE Poznałem go wczoraj rano, niemal zaraz po przyjeździe, w hotelu w Rydze. Ale to dzięki niemu tu jestem. On powiedział mi o tym specjalnym pociągu.

OFICER Ach, tak. Mógłbym wiedzieć, czym pan handluje?

VANCE Płótno. Papier. Drewno.

OFICER Dużo pan podróżuje?

VANCE Owszem, czasami. W istocie podróżuję przeważnie na polecenie mojego pryncypała.

OFICER To powód pańskiej obecnej podróży?

VANCE Tak. Jak zwykle, po prostu interesy. Nic innego.

OFICER Interesy... A na jak długo pan jedzie?

VANCE Nie dłużej niż trzy tygodnie. Za tydzień, może dziesięć dni, dołączę zresztą do brytyjskiej misji handlowej.

OFICER Ach – a więc to oficjalna podróż?

VANCE Niezupełnie.

OFICER Ciekaw jestem, czy był pan już tam kiedyś?

VANCE To mój pierwszy raz.

OFICER Pewnie sądzi pan, że cała ta nasza rozmowa nie należy do moich obowiązków, panie Abbott. Obawiam się, że nie zechce pan poniechać tej wyprawy...

VANCE Przykro mi, ale to raczej nie zależy ode mnie...

OFICER Rozumiem, że nie może się pan wycofać, chociaż... Mam tylko nadzieję, że został pan uprzedzony, z jakimi kłopotami, delikatnie mówiąc, musi się pan liczyć.

VANCE Proszę mi wierzyć, świadom jestem różnych trudności.

OFICER Wydaje mi się jednak, że nie jest pan przyzwyczajony do ostrych mrozów, a zima tam jest ciężka i pod innymi względami.

VANCE Wiem. Czytuję gazety.

OFICER Chyba pana nie uraziłem? Przepraszam bardzo.

Vance zaprzecza uprzejmym gestem, mówiącym „Ależ skąd”. Jego rozmówca w milczeniu zdaje oczekiwać jeszcze jakiejś deklaracji. Zawiedziony, podnosi wzrok na duży zegar wysoko na ścianie. Później wyłuskuje z papierów własny zegarek i sprawdza godzinę.

OFICER Minęła północ. Muszę zmienić datownik.

Vance nie odzywa się, kiedy wojskowy manipuluje pieczęcią i starannie, z pewnym namaszczeniem, przybija stempel na dokumentach.

OFICER Dwudziesty piąty lutego 1921. Proszę bardzo. Cóż, życzę panu dobrej podróży, panie Abbott. Powodzenia w interesach... i do zobaczenia.

Vance mamrocze jakąś grzecznościową formułkę. Odwraca się skwapliwie do wyjścia. Oficer odprowadza go wszechwiedzącym, sceptycznym spojrzeniem, które zatrzymuje się gdzieś w pół drogi w martwym punkcie, a potem zapada w pustkę. Z zamyslenia, niezbyt licującego z wojskową formą, wyrwa go niemal natychmiast ostry dzwonek telefonu.

Vance przez ułamek sekundy waha się na progu.

4.

Zamyka za sobą drzwi. Wchodzi do hallu, w atmosferę dworcowej nocy, męczące go czekania w nieskończoność. Ktoś śpi, wyciągnięty na twardej ławce. Kilku pasażerów i kilku funkcjonariuszy, przegazonych czuwaniem w mdłym świetle. Jedyny Christiansen, w narzuconym już na ramiona futrze, nie traci werwy i ze swadą wyklada coś dwóm umundurowanym słuchaczom. Wokół krąży niepozorny młody człowiek w okularach, z grubą książką, której nie otwiera, ściska tylko przed sobą jak tarczę. Stadko beznamiętnych bagaży rozpięchło się po całym pomieszczeniu. Dwaj tragarze, przymierzający się do osobnego stosu walizek i sporego kufra, podejmują taktyczną decyzję i z ładunkiem wypływają na zewnątrz, wpuszczając falę mroźnego powietrza.

Vance przemyka się w przeciwnym kierunku. W środku perory Duńczyk próbuje go zatrzymać.

CHRISTIANSSEN Jeszcze cło, Abbott! Czysta formalność!

Z nagle obudzoną energią Vance przyspiesza kroku, zbywając go zdawkowym gestem.

5.

Staje w uchylonych drzwiach frontowych dworca. Przed nim rozpościera się panorama głębokiej nocy – rozgwieżdżone niebo nad dalekim horyzontem, zamkniętym jeszcze czarniejszą plamą lasu. Na dziedzińcu, otwierającym się na ciemną pustkę, strzelają wysoko płomienie ogniska, przy którym grzeją się żołnierze z kawaleryjskiego szwadronu. Niedaleko trzy ogromne czworonogi różnych ras i maści gonią się wzbijając chmury śnieżnego pyłu.

Vance stoi w blasku ognia. Chce już wrócić do poczekalni, gdy odkrywa za swoimi plecami młodego człowieka, wciąż trzymającego się swojej książki.

WIKTOR Przepraszam... Nazywam się Wiktor Borysow...

Vance zmuszony jest przedstawić się w odpowiedzi. Wiktor nie rusza się z miejsca.

VANCE Cóż za piekielny mróz...

WIKTOR Marźnie pan... Zresztą wszystkim musi być zimno. Nie wiem, po co pan tam jedzie, nawet mnie to nie interesuje, ale chciałbym, żeby pan wiedział: ja wracam tylko dlatego, że nie wypuścili mojej narzeczonej. Oznajmiono jej wyraźnie, że nigdy nie dostanie paszportu. Wiele miesięcy czekałem na nią, najpierw w Pradze, potem w Berlinie. Proponowano mi ciekawą pracę. Ale nie mogę jej zostawić. Nie mogę. Ja nigdy...

Przestrzeń rozcina nagle przeciągły gwizd lokomotywy, niezbyt bliski, ale dobrze słyszalny. Obaj zastygają nasłuchując, zanim, nie podejmując już rozmowy, pędem rzucą się z powrotem do hallu.

6.

Ośnieżone tory, ginące w ciemności nocy, biegną w kierunku, skąd dochodzi drugi, przeraźliwy gwizd, teraz bardziej wyraźny.

Vance wypada na peron. Na szynach stoją dwie drezyny; wszyscy pasażerowie z bagażami ulokowali się na pierwszej, drugą zajęli żołnierze. Tragarz, który biegł za Vance'em, ustawia jego bagaże i pomaga mu wwindować się na platformę; okrzyki żołnierzy, kolejarzy i pasażerów, które potwierdzają, że są wszyscy, można jechać.

Christiansen rozlokował się już wygodnie na swoim kufrze z przodu wehikułu i gestem wskazuje miejsce obok siebie. Vance toruje sobie do niego drogę, potykając się i przepraszając. Po raz trzeci gdzieś gwizdże parowóz. Vance w końcu siada, tyłem do kierunku jazdy. Niedaleko przycupnął Wiktor.

Drezyna zaczyna płynnie oddalać się od dworca. Na peron wychodzi oficer. Podmuch wiatru podnosi poły płaszcza jego niknącej sylwetki.

Vance dostrzega w ręku Duńczyka krótki błysk chowanej piersiówki.

CHRISTIANSSEN No, pożegnajmy się z Łotwą!

WIKTOR Raczej z nadzieją...

Duńczyk wybucha śmiechem. Wstaje i przeciąga się radośnie, odpędzając sen.

CHRISTIANSSEN Zaraz będziemy na miejscu.

7.

Jedna za drugą drezyny – na pierwszej wyraźnie odznaczająca się postać Christiansena, dumnie tkwiąca na przedzie jak rzeźba czołowa galeonu – przesuwały się po niewysokim nasypie, wykreślając prostą linię niskiego horyzontu, który rozdziela ciemność nieba od ciemności ziemi.

8.

Z mroku przed nimi, z prawa i z lewa wyłaniają się jakieś oddalone, rozproszone światła. Pojazd nieruchomieje w pustce i ciszy. Kolejarze dają świetlny sygnał i natychmiast nadchodzi odpowiedź. Ktoś, może Christiansen, którego rozpiera energia, a może Wiktor w straconej determinacji, podnosi się i pierwszy zeskakuje w śnieg. Za jego przykładem idą inni: równocześnie zbierają bagaże i w nerwowym pośpiechu starają się zejść wprost na tory.

Chaotyczne ruchy pasażerów obserwują żołnierze z drugiej drezyny, najwidoczniej nie zamierzający opuszczać swojej platformy; ogniki ich papierosów migoczą wśród ich milczenia, krążą jak rozmowa w nieznanym języku.

Vance chwyta rzeczy i rusza zanieśioną śniegiem drogą pomiędzy szynami, śladem trzech pasażerów, którzy zdążyli już wyprzedzić wszystkich, nie obciążeni nadmiarem pakunków. Widać, jak przechodzą przez przejście, które kolejowy szlak przebił w zaporze z kłębów kolczastego drutu. Nagle pojawiają się czerwone punkty latarni ostatniego wagonu pociągu, stojącego trochę dalej.

Vance przystaje, czekając na Christiansena, który zdumiewająco zręcznie radzi sobie z kufrem i walizkami.

VANCE Jest pan pewny, że oni wszystko załatwią?

CHRISTIENSEN Och, tak. Zaraz po przekroczeniu granicy zostanie pan aresztowany jako agent. Zdemaskują pana raz dwa...

Mija ich Wiktor, bez słowa.

VANCE Lubi pan żartować...

CHRISTIENSEN Wyłącznie... Dalej, idźże już pan... Sam udźwignę swoje brzemię...

Vance posłusznie podejmuje wędrówkę. Tuż przed przejściem zrównuje się z nim w marszu jeszcze jeden z przypadkowych towarzyszy podróży, młody człowiek, chyba od niego młodszy. Obaj zatrzymują się przed otworem w zasiekach. Nie mówią nic, zresztą jest za zimno, żeby prowadzić konwersację, para unosi się z ust przy każdym oddechu, ale patrzą na siebie z odcieniem sympatii, jakby połączeni krokiem, który za chwilę uczynią. I razem wchodzą na pas ziemi niczyjej, żeby znaleźć się po drugiej stronie.

Za ostatnią linią graniczną znowu ogarnia ich pośpiech i Vance zostaje nieco w tyle. Na ciemnym śniegu majaczą sylwetki, pełgają jakieś płomyki – coś dzieje się przy kolejowym szlaku. Wśród kształtów nocy wyrasta coraz wyraźniej nieruchomy wagon z dwoma czerwonymi latarniami.

Vance, docierając do czekającego pociągu, w końcu musi zejść z podkładów, po których szedł. Zaczyna biec i biec po udeptanym śniegu, mija dwa albo trzy wagony towarowe, z niedowierzaniem rzucając okiem na ziejące pustką czarne dziury otwartych drzwi. Zwalnia, spostzegając wagon pasażerski i swojego współpodróżnika, który rozmawia z kimś stojącym na wagonowych schodkach. Vance wyrównuje krok i oddech może rozejrzeć się dookoła.

Trochę dalej wyłania się z ciemności niski, byle jaki budynek, tak słabo oświetlony, że prawie wchłania go czarna ściana nocy, niedbały zarys schroniska, markujące tylko swoje istnienie. Nieco bliżej płonie ognisko i widać szeregi żołnierzy, które łamią się na komendę, wśród głosów i nawoływań krążą jakieś postacie i jacyś jeźdźcy, skądś słychać na przemian wycie i naszczekiwanie psa: sceneria złożona z podobnych elementów, jak po łotewskiej stronie granicy, ale tworząca ich zdeformowane odbicie, o niewyraźnych konturach i dziwacznych proporcjach.

„Wsiadać! Wsiadać!” – Vance słyszy ponaglenie w dwóch językach. Zza pociągu właśnie wyłania się Christiansen, pokrzykując z entuzjazmem, lekko przytłumionym górą bagaży. Vance tymczasem idzie wzdłuż brązowego wagonu sypialnego pierwszej klasy. Zdarto z niego godło i litery, ale pozostał ich czytelny ślad. Z przodu stoi jeszcze jeden wagon towarowy, a przed nim już tylko węglarka i ukryta w widmowych kłębach pary lokomotywa.

Vance wspina się po schodkach z elegancko wygiętą poręczą.

9.

Taszcząc rzeczy, przesuwa się przez korytarzyk, wyłożony dywanem. W przeświacie niedomkniętych drzwi zauważa mimochodem obcych cywilów, a kiedy przechodzi dalej – nieznajomych z łotewskiego dworca. Na chybił trafił chce się gdzieś ulokować, ale wycofuje się z przeprosinami, widząc Wiktora. Omija kolejne drzwiczki i otwiera dopiero następne.

10.

Tym razem trafia na pusty przedział, zalany błękitnawym światłem. Z nocnej lampki w kształcie tulipana jeden płatek odłamano, drugi nadbito; luksus wnętrza nosi znamiona nieodwracalnie postępującego rozpadu.

Vance starannie domyka za sobą drzwi. Bagaż zostawia na środku i natychmiast podchodzi do okna. Przez chwilę obserwuje rozsiane w szczerym polu ogniska i ciemne szeregi. Potem ogląda przedział. Zamierza znów wyjść na korytarz, ale dobiega go hałas, jaki wszczyna Christiansen, ładujący się do pociągu. Vance przysiadła na kanapce, by przeczekać zawieruchę. Wychodzi dopiero wtedy, kiedy za drzwiami robi się cicho.

11.

W korytarzyku zaskoczony stwierdza, że Duńczyk pochyla się wciąż nad bagażami, czujny jak zwykle.

CHRISTIENSEN Aaa... tu pan jest, Abbott. Już się pan urządził?

VANCE Właściwie to jeszcze nie.

Zaczyna bezskutecznie mocować się z oknem. Duńczyk przypatruje się jego wysiłkom kpiącym wzrokiem.

CHRISTIENSEN Już się pan rozgrzał?

VANCE W moim przedziale jest trochę duszno, jakiś ciężki zapach, chyba pleśń...

Może poszukam innego miejsca... Marzę o tym, żeby się wyspać.

CHRISTIENSEN Chyba nie cierpi pan na klaustrofobię?

VANCE Nic mi o tym nie wiadomo.

CHRISTIENSEN Bo będziemy zamknięci naглуcho do samego końca. Okna, nawiasem mówiąc, też są zamknięte.

VANCE Doprawdy?

Przez szyby przebija się stłumiony krzyk komend. Widać, jak mrówcze rzędy żołnierzy zmierzają w nierównym szyku ku wagonom towarowym.

VANCE Czy to normalna procedura?

Duńczyk zbywa milczeniem to pytanie, jakby nie wiedział, czego dotyczy: okna czy wojska. Znowu skupia się na swoich manatkach.

CHRISTIENSEN Niech się pan nie boi, zaraz zostawię was samych...

Vance jeszcze krótką chwilę śledzi ruchy wojska, zanim schroni się w przedziale.

12.

Najpierw próbuje zamknąć przedział od wewnątrz, ale odkrywa, że klucz nie obraca się w zamku, a zasuwka została wyrwana. Potem wyswobadza się z pelisy, znajduje lampę i zapala światło – zaczyna urządzać się, rozstawia rzeczy, z neseseru wyjmując pled. Lekkie pukanie do drzwiczek ukrytych obok okna zaskakuje go na tych rutynowych przygotowaniach do nocnej podróży. Nie czekając na zaproszenie, wchodzi młody człowiek, z którym Vance przeszedł granicę.

MORRIS Przepraszam, chciałem uprzedzić, że łazienkę mamy wspólną. Faktycznie jeszcze się nie znamy. Nazywam się Morris Bunder, przez „u”. Jestem dziennikarzem. Z Nowego Jorku. Co zresztą widać po akcencie.

VANCE Vance Abbott.

MORRIS Anglik.

VANCE Tak, oczywiście.

MORRIS Może też jest pan dziennikarzem?

Vance zaprzecza. Obaj stoją na środku przedziału, jeden otwarty, drugi zamknięty, jeden trochę rozczerwony, drugi lekko zniecierpliwiony brakiem nici porozumienia.

VANCE Zajmuję się handlem.

MORRIS O! To bardzo ciekawe! Wie pan, w mojej profesji interesuje mnie wszystko, więc pozwól pan, że spytam...

Z drugiej strony torów słychać wyraźny krzyk komendy. Obydwaj natychmiast znajdują się przy oknie.

VANCE Co to jest, jak pan sądzi?

MORRIS Zwykła zbiórka. Myślę, że wymieniają oddziały. Żołnierze, którzy stajonowali dotąd na granicy, odjeżdżają z nami, może zobaczymy, dokąd. Tym pociągiem musieli przyjechać inni, którzy ich zastąpią.

VANCE Tak... Stąd ten ruch. Chyba ma pan rację.

MORRIS Ciekawe, jak często odbywa się taka wymiana. Wie pan...

Nagle, silne szarpnięcie wagonu. Otwarty neseser Vance'a przewraca się, jego zawartość rozsypuje się po przedziale. Obaj tracą równowagę i próbują ją odzyskać w tak komicznych pozach, że Morris wybucha zaraźliwym śmiechem, a Vance również nie potrafi się powstrzymać.

13.

Lokomotywa z wielką czerwoną gwiazdą na okrągłym pysku zaczyna w kłębach pary pełznąć powoli w noc.

14.

Morris opadł na kanapę, wyczerpany śmiechem. Vance szuka czegoś, metodycznie obmacując podłogę.

MORRIS Mówiąc prawdę, właśnie porzuciłem pracę w gazecie. Jadę do Rosji, żeby napisać książkę. Musiałem zostawić dziennikarstwo, przynajmniej na razie. Wciąż myślałem o jednym. Wie pan, jak to jest, kiedy człowiek żyje z ukrytym pragnieniem, które go zżera...

Chociaż Morris nie oczekuje odpowiedzi, Vance odzywa się z kłęczek, na sekundę przerywając poszukiwania.

VANCE Tak, wiem.

MORRIS Strasznie chcę napisać książkę o rewolucji. Co to jest rewolucja? Ciągłe się zastanawiam, jak wygląda. Walki na ulicach, barykady? Długie nocne narady przy długim stole? Manifestacje... Jak się żyje w takich czasach, kiedy coś się kończy, coś się zaczyna? Chciałem to zobaczyć. I kiedy coś się kończy, a coś się zaczyna? Rozumie pan, po co tam jadę?

VANCE Doskonale.

MORRIS Wiedziałem, że pan mnie zrozumie. Ale nie jest pan pisarzem...

VANCE Nie, naprawdę. Napisałem tylko kilka artykułów o sztuce...

MORRIS O sztuce?

VANCE O malarstwie nowoczesnym. Recenzje z wystaw. No, nareszcie.

MORRIS Co to takiego właściwie?

Vance prostuje się, wciąż na kolanach. W palcach trzyma małą porcelanową figurkę marynarza.

VANCE To pamiątka.

MORRIS Taka cenna? Szukał jej pan jak szalony.

Zanim zdąży zadać następne pytanie, bez pukania otwierają się drzwi. Wchodzi dwóch cywilów. W progu wyrasta uzbrojony żołnierz. Z korytarza zaglądają mu przez ramię dwaj inni.

CYWIL I Dokumenty.

Vance podnosi się z podłogi. Kiedy odruchowo otrzepuje się z kurzu, funkcjonariusz uśmiecha się ironicznie. Zaczyna starannie oglądać papiery Vance'a.

CYWIL I Nazwisko?

VANCE Abbott.

CYWIL I Abbott. Imię?

VANCE Vance.

Cywil powtarza dane i oddaje paszport z wizą swemu towarzyszkowi, który je najwidoczniej sprawdza i spisuje.

CYWIL I Cel podróży.

Vance milczy, bo nie rozumie tego pytania. Obok niego staje nieproszony Morris. Najpierw zwraca się po rosyjsku, z obcym akcentem, do cywilów, jak zwykle nie czekając na odpowiedź.

MORRIS Mogę pomóc? On słabo zna język. Cel podróży, Vance.

VANCE Nawiazanie kontaktów handlowych. Za kilka dni jadę do Moskwy, gdzie przyłączę się do oficjalnej delegacji brytyjskiej.

Morris z zapalem tłumaczy także następne pytania Cywila.

MORRIS Dlaczego nie jedziesz od razu do Moskwy?

Vance stara się zachowywać swobodnie, mierzony przenikliwymi spojrzeniami.

VANCE Zajmuję się również sprawą pomocy dla pisarzy i artystów. Mam list polecający do pisarza Maksyma Gorkiego od George'a Herberta Wellsa... pisarza... w sprawie zorganizowania transportu żywności...

Morris przekłada. Cywil, z którym rozmawia, w przeciwieństwie do niego nie okazuje ani entuzjazmu, ani zainteresowania.

MORRIS Pyta się, czy teraz również wieziesz większą ilość żywności w charakterze pomocy?

VANCE Mam tylko rzeczy osobiste. Niestety, nie byłem w stanie... Nie można było z tym zdążyć... Trasa mojej podróży...

CYWIL II Czy interesuje się pan baletem, panie Abbott?

Jego nagle ujawniona elegancka angielszczyzna wprawia Vance'a w prawdziwe zakłopotanie.

VANCE Tak, trochę... Ale nie widziałem baletów rosyjskich... tylko słyszałem... Bo właściwie to mnie nie interesuje... Chociaż chciałbym...

CYWIL II Powinien pan żałować. Gdyby przyjechał pan parę dni wcześniej, zobaczyłby pan samą Isadorę Duncan tańczącą u nas. Zapewnił pana, że to był niezwykle spektakl.

VANCE Oczywiście, żałuję...

CYWIL II Będę wdzięczny, jeśli zechce pan przekazać pozdrowienia wielkiemu pisarzowi po powrocie do Anglii, panie Abbott. Pozdrowienia od jego wielbiciela. Bardzo chciałem go zobaczyć, kiedy jesienią był w Rosji, ale niestety... inne obowiązki... wie pan. Zresztą mam jeszcze nadzieję...

VANCE Dziękuję. Przekazę.

Ciszę przerywa znowu Cywil I, który zwraca się już do Morrisa.

CYWIL I Dokumenty.

MORRIS Mam wszystko w moim przedziale, tutaj.

Chce wrócić do siebie znaną drogą przez łazienkę, ale funkcjonariusz go powstrzymuje.

CYWIL I Nie, nie. Tędy.

Morris posłusznie idzie za nim na korytarz. W przedziale przez moment panuje prawdziwy tłok, kiedy żołnierz przechodzi do drzwi przy oknie.

CYWIL II Życzę przyjemnej podróży. Dobranoc.

VANCE Dziękuję. Dobranoc, sir.

Zostaje sam. Może wreszcie rozsiaść się na kanapie. Wykonuje charakterystyczny, niemal niezauważalny gest: kreśli kciukiem linię wzdłuż talii. Za chwilę jednak wstaje, żeby skończyć porządkowanie rzeczy i znaleźć w bagażu bezpieczne miejsce dla figurki marynarza, którą podczas rozmowy z urzędnikami chyba machinalnie wetknął do kieszeni. Tymczasem pociąg wyraźnie zwalnia.

Vance w prostokacie okna ogląda linearną kompozycję z grubych desek towarowych wagonów, potem pojawia się półotwarte wejście jednego z nich, odsłaniające na moment widmowy obraz zbitej masy żołnierzy. Do przedziału wdzierają się mroczny, monotonny zaśpiew, który natychmiast cichnie. Wagony rozpylają się w ciemności równie nagle, jak się z niej wyłoniły.

Przez niedomknięte drzwi łazienki widać Morrisa, który nad umywalnią ochlapuje wodą twarz.

VANCE Słyszałeś? To rzeczywiście był pociąg wojskowy, tak jak mówiłeś.

Morris rzuca okiem w stronę okna i natychmiast odwraca się zmartwiony.

MORRIS Nic już nie widać. Zdaje się, że wyszedłem na głupca.

VANCE Nie, bardzo dobrze się stało. Dowiedliśmy niechcący, że nie mamy nic do ukrycia.

MORRIS Może masz rację. Chyba zużyłem cały zapas ciepłej wody.

VANCE Nie szkodzi. Wszystko w porządku. Gdzie nauczyłeś się tak dobrze rosyjskiego?

MORRIS Dziadek ze mną czasem rozmawiał... w dzieciństwie. Nigdy nie nauczyłem się mówić po angielsku. Gdyby żył, klóciłby się ze mną strasznie o tę podróż. Jeśli chcesz, zawsze chętnie ci pomogę jako tłumacz.

VANCE Mam nadzieję, że dam sobie radę.

MORRIS Chciałbym zobaczyć ten list Wellsa, wiesz. Bardzo mi się podobał „Nie-widzialny człowiek”.

VANCE Mnie też. Ale wiesz, wolałbym potem. Byłem szczęśliwy, że nie kazano mi go pokazywać. Włożyłem to na samo dno... Strasznie jestem zmęczony.

MORRIS Ja też. Ale masz ten list.

VANCE No, tak.

MORRIS Jutro porozmawiamy, prawda?

VANCE Oczywiście.

MORRIS Gdyby coś się działo, zawsze możesz mnie obudzić.

VANCE Dzięki. To dobranoc.

MORRIS Dobranoc. Zaraz skończę...

VANCE Nie musisz się śpieszyć... Dobranoc.

Przymyka drzwi łazienki. W przedziale gasi lampę i w niebieskawym świetle tulipana owija się szczelnie pledem, siedząc na kanapie, nie rozbierając się ani nie ścieląc łóżka. Powieki mu opadają.

15.

Kiedy widzi przed sobą siedzącego na łóżku Christiansena, nie wiadomo, czy to jawa, czy sen. Duńczyk obserwuje go uważnie, z szyderym grymasem.

CHRISTIENSEN Napije się pan brandy, Abbott?

Vance kręci przecząco głową.

CHRISTIENSEN Cel podróży, Vance.

Spod drzwi przedziału odzywa się Cywil I.

CYWIL I Abbott. Vance. Abeyance*. Abeyance!

Funkcjonariusz wybuchając śmiechem, przekręciwszy jego nazwisko i imię.

Dookoła nabrzmięwa groźny pomruk tłumów.

* Abeyance – stan zawieszenia w sensie prawniczym (np. o ustawie); także nieznanostwo.

16.

Vance budzi się. Pociąg stoi w środku nocy. Tuż pod oknem ktoś przekrzykuje inne krzyczące głosy, ochryple powtarzając tę samą rosyjską frazę: „Nie wolno wsiadać do tego wagonu! Nie wolno wsiadać do tego wagonu! Sprawa wagi państwowej!” Vance stara się ukradkiem wyjrzeć na zewnątrz. Widzi z dala tablicę na peronie z napisem: „ПІККОБ”. Za jego plecami wyrasta Morris, w nocnym negliżu. Rozmawiają szeptem.

VANCE Co się stało?

MORRIS Parę osób wysiadło. Miłośnik baletu też. Widocznie stąd pojadą do Moskwy.

Cały czas słychać napierający, zdeterminowany tłum.

MORRIS Chyba mimo wszystko nie wejdą do wagonu. Ale gdyby im się udało...

Wtedy powiedz: „tif, tif”.

VANCE „Tif, tif”? Co to znaczy – pociąg, który jedzie?

MORRIS Niezupełnie, ale może poskutkuje.

Ruszają, kiedy akurat Vance wypróbował swoje „tif, tif”. Morris chichocze. Niewiele zdążyć zobaczyć przez okno.

17.

Za dworcem, na torach, przed szeregiem uzbrojonych żołnierzy tamten rozemocjonowany tłum, już poskromiony, zamieniony w szarą masę, od której oddala się pociąg.

18.

Vance na kanapie, owinięty pledem, podrzemuje bez snów. Jeśli wśliznąć się przez uchylone drzwi przy oknie, przemknąć przez łazienkę i zajrzeć do przedziału obok, można zobaczyć Morrisa, który leży wygodnie w pościeli, ale twardo śpiąc, rzuca niespokojnie głową, jakby coś przeszkadzało mu na poduszce.

19.

Na krawędzi dnia pusta biała przestrzeń z lotu ptaka, w której sunie powoli czarna gąsienica pociągu.

20.

Wraz z przeciągłym, przejmującym jękiem syreny fabrycznej Vance otwiera oczy, wstaje zdrewniały, robi kilka kroków, żeby rozprostować kości. Błady świt gasi niebieskie światło tulipana. Za oknem przesuwają się mury, hale i kominy – monotonny krajobraz dzielnicy przemysłowej wielkiego miasta; na dziedzińcu jednej z mijanych fabryk rozproszone grupki robotników wydają się zastygłe w bezruchu.

Vance, zbyt zmęczony, by cokolwiek go ciekawiło, wraca na kanapę, powstrzymując rozpaczliwe ziewanie. Znowu szczelnie owija się pledem.

21.

Jest już jasny dzień. Najwidoczniej Vance zasnął bardzo głęboko. Morris pochyla się nad nim, gotowy do wyjścia.

MORRIS Koniec podróży. Wstawaj, jesteśmy sami, wszyscy już wysiedli...

VANCE Wszyscy?... Która godzina?

MORRIS Po dziesiątej. Stoimy już od kwadransa na bocznic.

VANCE Dzięki...

Zrywa się i zbiera nadspodziewanie szybko.

22.

Schodzą z wagonu na ziemię. Zaczynają z bagażami bnać przez płataninę torów po zmarzniętym śniegu. Brązowy sleeping postawiono osobno, daleko od innych składów.

Vance kuli się z zimna, starając się zasłonić usta szalikiem i kołnierzem. Rozgrzany entuzjazmem Morris maszerując przy nim, niemal śpiewa z emocji i radości.

VANCE Diabelnie zimno. Co teraz zamierzasz?

MORRIS Petersburg, Petersburg...

VANCE Teraz nazywa się przecież inaczej...

MORRIS Pewnie! Rewolucyjny Petrograd! Nawet nie wiesz, jak się cieszyć!...

VANCE Przecież widzę...

23.

Wspólnie umawiają się z dorożkarzem, przy dorożce na płozach już wypełnionej ich torbami i walizami, gdzieś przed dworcem, może nawet Moskiewskim, w nieostrej perspektywie wielkowiejskiej ulicy, szerokiej, prawie opustoszałej, niewyróżniającej się jak w pierwszym lepszym mieście. Ten, który zna rosyjski, wziął na siebie ciężar pertraktacji (choć nie byłoby dziwne, gdyby trafili na kogoś, kto sam potrafi porozumieć się z nimi bez przeszkód).

WOZNICA Do hotelu mogę trochę dłuższą drogą, ale piękniejszą...

MORRIS Dobrze, dobrze, wspinał się...

24.

Dorożkarskie sanie, ciągnięte przez wychudzonego konia, suną wolno i cicho nad kanałem skutym przez lód, w kamiennym pejzażu o idealnej harmonii. Dach zapiera doskonałą symetrią przepływających obok fasad i mroź, od którego drży suche powietrze, a mury połyskują srebrzyście.

MORRIS Patrz, Vance, patrz!

Jego towarzysz patrzy, kurcząc się z zimna.

Nad linią kamienic błyska złota iglica Admiralicji.

25.

W hotelowym korytarzu idą obydwoj za portierem, obciążonym ich bagażami, który zatrzymuje się właśnie, otwiera pokój Morrisowi i zostawia jego rzeczy tuż za progiem. Vance zaczyna żegnać się z zapobiegawczo z towarzyszem podróży, tymczasem portier otwiera następne drzwi.

MORRIS Chcę zaraz rozejrzeć się po mieście. Może pójdziesz ze mną?

VANCE Chyba nie. Będę musiał najpierw telefonować. I chętnie bym trochę odpoczął. Mało spałem w pociągu... Zobaczymy się pewnie, jak wrócisz.

MORRIS Ech, ta wasza splendid isolation...

VANCE Do widzenia, amerykański imperialisto.

Portier, wstawiając za próg sakwojażę Vance'a, cofa się do Morrisa.

PORTIER Za chwilę wrócę. Wszystko panu pokażę...

26.

Pokój hotelowy tonie w zielonkawym mroku, okna są zasłonięte grubymi kotarami. Na pierwszy rzut oka widać, że było to bardzo eleganckie secesyjne wnętrze, zanim zeszepecono je prowizorycznym piecykiem. Vance uchyla zasłonę, podwójne szyby nad parapetem pokrywa prawie do połowy lodowy wzór. Przez okno niewiele może zobaczyć: kawałek wąskiej ulicy i fragment klasycystycznego frontonu budynku, wznoszącego się naprzeciwko.

Portier delikatnie zamyka za sobą drzwi. Potem odsuwa zasłony i krąży zaafektowany wokół gościa, pomagając mu rozlokowywać bagaże.

PORTIER Zaraz przyślę kogoś, żeby rozpałił. Będzie trochę cieplej. Cóż, drugi sezon mamy kłopoty z centralnym ogrzewaniem. Kaloryfery ledwie grzeją. Zresztą nie tylko my, u nas jeszcze nie jest źle. Powyżej zera. Obawiam się, że wszędzie zastałby pan podobną sytuację. Całe miasto marznie w tym roku. Jeśli mogę panu coś doradzić, to gorącą herbatę. Niezawodny środek. Samowar można przynieść tutaj albo zamówić do restauracji.

VANCE Dziękuję, z przyjemnością wypiję tutaj.

PORTIER Już to załatwiam. Zaraz przyniosę. Obawiam się, że będzie pewien kłopot przy korzystaniu z łazienki. Rury z ciepłą wodą są zamrożone. Radzę używać tej umywalni.

VANCE Trudno. Ale chciałbym się doprowadzić do porządku po podróży.

PORTIER Oczywiście. Natychmiast ktoś przyniesie wodę.

VANCE Będę mógł zawsze zamówić herbatę?

PORTIER Sądzę, że tak. W czym mogę panu jeszcze pomóc?

VANCE Czy ktoś mógłby odprasować mi rzeczy?

PORTIER Tak... owszem. Przepraszam.

Z aparatu wiszącego na ścianie niedaleko drzwi łączy się z centralką i pyta kogoś po rosyjsku, czy już przygotowano samowar.

PORTIER Z toaletą radziłbym poczekać, aż się pan trochę rozgrzeje. Przepraszam, za chwilę wrócę z herbatą.

Po jego wyjściu Vance też podnosi słuchawkę telefonu, ale od razu rezygnuje z rozmowy. Wyciąga piersiówkę i na razie rozgrzewa się solidnym tykiem. Potem z neseseru wydobywa plan miasta. Rozkłada go na łóżku i zaczyna studiować.

Wciąż wpatruje się w płataninę kresek, kiedy portier wnosi samowar i zamienia się w kelnera, przygotowując herbatę.

VANCE Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jesteśmy?

PORTIER Tutaj, w samym centrum... Czy nie przydałby się panu przewodnik po mieście?

VANCE Nie, raczej nie.

PORTIER Szkoda... Ten człowiek, który tu zaraz przyjdzie rozpałić... to żołnierz, inwalida. Zeszłej zimy stracił żonę i dziecko, zmarły na hiszpankę... Ta straszna epidemia przyszła do nas... Dajemy mu czasem zajęcie, ale wiosną... hm... będzie miał ograniczone źródła dochodów. Był w niewoli niemieckiej, trochę mówi po niemiecku. Uczciwy człowiek. Umie czytać.

VANCE Ja też mówię tylko trochę po niemiecku. A pańska angielszczyzna jest znakomita.

PORTIER Dziękuję. Studiowałem kiedyś w Anglii. Na politechnice w Liverpoolu...

VANCE Ach, tak...

Drzwi się otwierają i wysoki, wychudzony brodacznik wnosi na ręce misternie ułożony stos szczap. Prawy rękaw jego długiego, złachmanionego płaszcza zwisa pusty. Pozdrawia Vance'a uprzejmie po rosyjsku i po niemiecku, jakby chciał potwierdzić słowa swego protektora. Składa swój ładunek przy piecu i natychmiast wychodzi.

PORTIER Nazywa się Danił. Ja mówię do niego po prostu Daniła.

VANCE Wprawdzie nie potrzebuję przewodnika, ale być może będzie mi mógł pomóc. Dostarczyć mój list pod ten adres, poczekać na odpowiedź i przynieść ją dla mnie.

PORTIER Oczywiście, nie będzie żadnego problemu, wszystko mu wytłumaczę.

Daniła wraca z wiadrem, wypełnionym węglem do połowy.

VANCE Zaraz przygotuję list. I proszę mu powiedzieć, że ja też byłem ranny na wojnie.

27.

Przy stoliku Vance w pelisie narzuconej na ramiona kończy pisanie. Portier znikł, zostawiając samowar. Na umywalce paruje dzbanek pełen gorącej wody. Danił podnosi się z kłeczek, piec już buzuje ogniem. Inwalida czeka w milczeniu, aż Vance odezwie się do niego i zaczną rozmowę łamaną niemiecką.

VANCE Koniec.

Pieczętuje list i chce oddać go Danile, ale ten stoi zażenowany z ręką czarną od węgla. Vance z łobuzerskim uśmiechem szuka odpowiednio bezpiecznej kieszeni, żeby ulokować białą kopertę.

VANCE Ty. Jeszcze zostać.

Z neseseru wyciąga znowu piersiówkę. Nalewa sobie łyk do metalowej zakrętki, dla Daniły wysącza całą resztę do hotelowej szklanki, z której pił herbatę, na migi prosząc przedtem o pozwolenie. Tamten bierze ją delikatnie, by jak najmniej ubrudzić szkło. Wypijają razem niemy toast.

DANIŁA Dobre...

VANCE Ja też...

Rezygnuje z niemieckiej i odgrywa krótką pantomimę – pada na podłogę, łapiąc się za głowę, następnie rzuca się na łóżko i zaraz się podnosi.

VANCE Piętnaście miesięcy.

Daniła wzdycha współczująco. Podchodzi blisko do Vance'a i wpatruje się uważnie w jego twarz. Kiwa głową z autentycznym współczuciem.

VANCE Mam szczęście...

Z neseseru wyjmuję pudełko z czekoladą, otwiera i podsuwa Danile. Patrzy, jak tamten trzyma kawałek w ustach, czeka z nim razem, aż się rozpuści. Z uznaniem obaj kiwają głową. Potem Vance na kartce wyrwanej z notesu rysuje zegar i godzinę wpół do szóstej.

VANCE Ty przyjdź tutaj.

Daniła potakuje.

VANCE Teraz ja spać.

28.

Śni mu się pejzaż zimowy jak z holenderskich obrazów, idylla codzienności – tamto podwórko fabryczne, które widział rano z pociągu, zamienione w lodowisko. W większości mężczyźni, choć jest tu także kilkoro dzieci i jedna czy dwie kobiety, wszyscy ubrani współcześnie, według mody po wielkiej wojnie, gawędzą, flirtują, pojedynczo i w grupkach jeżdżą na łyżwach, bawią się na lodzie i śniegu. Nagle tafla pęka z trzaskiem strzałów.

29.

Vance, budząc się w zielonym mroku jak w zimnych głębinach jeziora, w pierwszej chwili nie bardzo wie, gdzie się znalazł. Wyplątuje się z kokonu koców ho-

telowych i własnego pledu. Słabnące suche trzaski skądś z zewnątrz przyciągają go do okna.

Przez wciąż zalodzoną szybę widzi tyralierę szarych pleców, maruderów jakiegoś tłumy, biegnących zgodnie w jednym kierunku.

Znowu gest kciuka przesuwanego w poprzek talii.

30.

Vance puka do drzwi Morrisa, ale nikt nie odpowiada. Z windy wychodzi portier z pastelową kopertą w ręku.

PORTIER Daniła przyniósł już odpowiedź dla pana.

VANCE Dziękuję.

PORTIER A ja chciałbym uprzedzić, żeby pan nie wychodził do miasta. Proszę pod żadnym pozorem nie opuszczać teraz hotelu. Łada godzina wprowadzą stan wojenny.

Vance czyta krótką wiadomość, ostrzeżenie puszczając mimo uszu.

VANCE Stan wojenny? Dlaczego?

PORTIER Są pewne niepokoje... Robotnicy strajkują...

VANCE Dlaczego?

PORTIER Cóż... Wolałbym, żeby pan mnie o to nie pytał...

VANCE Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ja w ogóle nie interesuję się polityką.

PORTIER Ja także nie. Tylko o tyle, o ile to konieczne, żeby przeżyć. Sądzę zresztą, że strajki wkrótce się skończą. Ale na wszelki wypadek radzę swoje sprawy w Piotrogradzie załatwić jak najszybciej i czym prędzej jechać do Moskwy.

VANCE Właśnie takie mam plany. Muszę więc wyjść wieczorem. Ale to chyba niedaleko.

PORTIER Rozumiem, że pan musi. Na szczęście Daniła może pana zaprowadzić. Poza tym trzeba załatwić jeszcze kilka formalności. Ma pan do wypełnienia parę kwestionariuszy. Niestety, w kilku egzemplarzach. Taki u nas zwyczaj.

31.

Odślonięta częściowo zasłona wpuszcza do pokoju trochę dziennego światła. Łóżko jest posłane. W pobliżu piecyka Vance, odświeżony i przebrany, kończy samotny posiłek, dość ekscentryczny, jak wskazują pozostałości: mięsna konserwa, ciastko, owoce. Różnojęzyczne etykiety na kartonowych i blaszanych pudełkach odzwierają trasę jego podróży – z Paryża przez Berlin i Warszawę do Rygi. Vance skrzętnie chowa resztę zapasów do torby, pogryzając na deser suszoną figę. Papierami z opakowań zasila piecyk i zaciera inne ślady obiadu.

Nagle słyszy pukanie – jego towarzysz z pociągu wchodzi jak zwykle bez czekania na zachętę.

MORRIS Siedzisz tu i nie wyobrażasz sobie, co się dzieje w tym mieście. Miałem nosa.

VANCE Co mianowicie?

MORRIS Rewolucja! Po prostu rewolucja!

VANCE Chciałeś powiedzieć zapewne kontrewolucja?

MORRIS Nie. Robotnicy chcą przejąć władzę.

VANCE Podobno to oni rządzą w tym kraju.

MORRIS Tutaj rządzi partia bolszewików, nie robotnicy.

VANCE Niesamowite. Czytałem o tym w jakiejś francuskiej gazecie. Nie wiedziałem, że oni tutaj czytają te same pisma.

Vance skupia się na przygotowywaniu fajki.

MORRIS Nie żartuj. Oni... oni są wariaci rewolucji. Gdybyś wiedział, gdybyś słyszał, co oni mówili i jak mówili. Można uwierzyć w socjalizm.

VANCE A co, czyżbyś kiedykolwiek wątpił?

MORRIS Byłem na wiecu. Na Wyspie Wasiliewskiej.

VANCE Słyszałem jakieś strzały.

MORRIS Tak, rozpędzili ich.

VANCE Były jakieś ofiary?

MORRIS Nie wiem, chyba nie.

VANCE Portier twierdzi, że lada moment wprowadzą stan wojenny.

MORRIS Możliwe. I tak tramwaje chodzą tu tylko do szóstej. Ale to nic nie szkodzi. Jeśli nie będzie dorożki, możemy pójść piechotą.

VANCE Dokąd?

MORRIS Na mityng do zakładów metalurgicznych. Chodź ze mną, Vance. To moment jedyny w swoim rodzaju. Idzie o godność rewolucji.

VANCE O czym ty właściwie mówisz?

MORRIS Robotnicy chcą prawdziwie demokratycznych rządów. Wiesz, właściwie bolszewicy przejęli całą władzę. Robotnik poza partią nie ma nic do powiedzenia. A wszystkim żyje się źle. Szczepnie mówiąc, to o wiele gorzej niż przed wojną.

VANCE I przed rewolucją?

Morris wzrusza ramionami.

VANCE A ja myślałem, że jesteśmy w kraju społecznej sprawiedliwości.

MORRIS Nie bądź taki zgryźliwy i chodź ze mną, nie pożałujesz. Przecież to historia! Naprawdę to cię nic nie obchodzi? Nie wierzę.

VANCE Mniej to mnie obchodzi niż myślisz. Ale poszedłbym z tobą, żeby popatrzyć. Niestety, nie mogę, naprawdę. Muszę złożyć wizytę, powiedzmy, półoficjalną.

Siada na łóżku, pochylając się nad rozpostartym planem. Morris podąża wzrokiem za jego gestem, do stolika, gdzie stoją dwa pudełka, różnej wielkości i kształtu, ale równie elegancko opakowane.

32.

Prezenty niesie sam Vance, kiedy po zmierzchu idzie z Daniłą, z rzadka rzucając na mróz pojedyncze niemieckie słówka: „tam”, „tu”, „prawo”, „lewo”, „prosto”, „wiedzieć”, „zimno”, „późno”, „pięknie” lub inne, podobnie nieskomplikowane. Wędrują przez wymarłe, ciemne, puste, zlodowaciałe miasto, boczną, nic nie mówiącą ulicą. Naraz Vance wykazuje inicjatywę, sam wybierając przecznice, w którą trzeba skręcić. Jego przewodnik potwierdza kierunek, trochę zaskoczony tym poczuciem przestrzeni.

33.

Wychodzą na kanał. Vance zatrzymuje się, przechodząc przez kamienny mostek i rozgląda się wokół jak turysta. Pojedyncza latarnia tworzy zatoczkę światła. Vance swoją łaskę wymierza w stronę gmachu, mającego w ciemności.

VANCE Co to jest? To – tam?

DANIŁA To jest bank. To był bank. Pieniądze.

Drepcze w miejscu z zimna, czekając nie wiadomo czemu na Vance’a, który dłuższą chwilę jak gdyby kontempluje zlewający się z nocą szereg frontonów. Mostek przechodzi w wąską uliczkę, kończącą się gdzieś dalej w ciemności. Wyblakły szyld apteki na narożnym domu, nad czarną witryną. Nikogo nie widać, tylko jakieś cienie.

VANCE Idziemy. Teraz Winogradów.

34.

Vance stoi, zdeorientowany i bezradny, przed wejściowymi drzwiami kamienicy, zablokowanymi ogromną zaspą, jakby nikt tamtędy nie przechodził od wielu dni. Nie wierzy Danił, który usiłuje go odciągnąć na bok.

VANCE Ależ to tutaj, tutaj!

DANIŁA Tak, tak, dobrze.

Z niedowierzaniem Vance mija za nim kilka następnych domów i zanurza się w czeluść jakiejś bramy.

35.

Razem przecinają na ukos jakieś podwórko, po szlaku wydeptanym w śniegu. Vance rozglądając się zdąży spostrzec na tynku jasny wzór z odprysków – stare ślady strzałów. Zaraz potem wchodzi w następną mroczną czeluść.

36.

W ciemności słychać stłumione przekleństwo Daniły i trzask zapalki, która się nie zapala. Płomyk w ręku Vance’a ukazuje obskurną klatkę schodową. Inwalida dzięki i zaraz potem udaje mu się własnoręcznie zaświecić dwudziestowatową żarówkę, spadającą skądś z wysoka na długim sznurze. Wspinają się obaj długimi krokami po mrocznych i wąskich schodach na pierwsze piętro Vance pochyłony i skupiony jak sprinter.

37.

Daniła zatrzymuje się na ciasnym podeście przed drzwiami. Dusi guzik jednego z szeregu dzwonek na futrynie, nie przejmując się tym, że z mieszkania dochodzą wyraźne krzyki kłótni w apogeum. Vance chowa się za jego plecami. Wciąż nikt nie reaguje na dzwonek, więc Daniła najpierw puka, potem wali pięścią w drzwi. Głosy zamierają.

DANIŁA Do profesora Winogradowa!

Awantura wybucha znowu ze zdwojoną siłą, ale wśród wrzasku powtarza się nazwisko Winogradów. Vance wycofuje się na niższy stopień schodów. Jednak drzwi się uchylają. Profesor wygląda nieufnie przez szparę z ogarkiem świecy w lichtarzyku. Przewodnik Vance’a odzywa się pierwszy po rosyjsku.

DANIŁA Dobry wieczór. Przyprowadziłem panu gościa.

Profesor patrzy na Vance’a opartego o ścianę.

VANCE Dobry wieczór, profesorze. Vance Abbott. Pewnie pan mnie nie pamięta?

Profesor milczy, ale wychodzi na schody, zamykając za sobą drzwi, okutany ni to w szlafrok, ni to w płaszcz. Podnosi lichtarzyk, żeby wyraźniej widzieć rysy przybysza.

VANCE W 1914 roku, w Biarritz, uczyłem angielskiego pańskiego syna, Saszę.

PROFESOR Vance... Drogi chłopcze... Poznaję cię... Trochę się zmieniłeś...

Pamiętam cię doskonale... Co ty tu robisz, na miłość boską?

VANCE Jestem tu właściwie przejazdem, załatwiam różne sprawy. Jadę za kilka dni do Moskwy. Chciałem pana odwiedzić. Jak pan się miewa, profesorze?

Wszystko w porządku? Jak rodzina?

PROFESOR Vance... To naprawdę ty... Gdzie się zatrzymałeś?

VANCE W hotelu przy ulicy Gogola.

PROFESOR Znam, znam. Zostajesz u nas na dłużej czy wracasz do Anglii?

VANCE Przyjechałem tylko na mniej więcej dwa tygodnie.

PROFESOR Kochany Vance... Bardzo cię przepraszam, czy mógłbyś odwiedzić nas jutro? Sam widzisz, mamy kłopoty. Wyłączyli światło. A przy okazji przepaliła się żarówka w korytarzu i lokatorzy ustalają, kto powinien zdobyć nową... Takie czasy... Możesz przyjść jutro, Vance?

VANCE Tak, myślę, że tak. Oczywiście. Wolałbym przed południem... jeśli można.

PROFESOR Dam ci znać do hotelu, Vance.

VANCE Panie profesorze... Przywiozłem dla pana cygara, pański ulubiony gatunek, przynajmniej w roku 1914. Proszę.

PROFESOR Vance... Pamiętałeś...

VANCE Ja wszystko pamiętam.

PROFESOR Dziękuję, mój drogi...

VANCE Do widzenia, do jutra.

PROFESOR Czy masz jakieś gazety, Vance? Czy przywiozłeś ze sobą jakieś gazety?

VANCE Przykro mi, ale chyba nie. Poszukam zresztą, może coś się zawieruszyło, ale chyba zostawiłem w Rydze...

PROFESOR Do widzenia...

Kiedy znika ze świeczką za drzwiami, Vance pokazuje pastelową kopertę, którą Daniła przyniósł do hotelu i oddał portierowi.

VANCE Teraz tam.

38.

W eleganckim salonie, przy wytwornej zastawie do herbaty Vance prowadzi towarzyską konwersację z młodą jeszcze, piękną kobietą, wygodnie usadowiony w fotelu i tym swobodniejszy, że w pokoju jest najwidoczniej ciepło.

BARONOWA Czekoladki są wspaniałe. Dobrze, że pan z tym listem przyszedł do mnie.

VANCE Tak mi doradzono, pani baronowo.

BARONOWA Bez tego tytułu, proszę. Teraz mamy wreszcie demokrację... Pisarz ostatnio ma bardzo wiele różnych zajęć, a poza tym, między nami, gdyby pan chciał tu załatwiać coś oficjalnie...

VANCE Oczywiście...

BARONOWA Tutejszy sekretarz partii, który jest wszechmocny, nie lubi go...

VANCE Ach, tak...

BARONOWA Więc obawiam się, że rekomendacja Gorkiego tylko zaszkodziłaby panu. A ja chyba będę mogła panu pomóc. Oczywiście nieoficjalnie.

VANCE Będę bardzo wdzięczny. Kiedy mogę spodziewać się jakiejś wiadomości? Proszę mnie źle nie zrozumieć, po prostu mój czas jest ograniczony.

BARONOWA Doskonale rozumiem. Postaram się jak najszybciej skontaktować z pewnym interesującym człowiekiem.

VANCE Jeszcze raz dziękuję.

BARONOWA Więc zajmuje się pan sztuką?

VANCE Tak. Nawiasem mówiąc, podziwiam pani portret. To ten... Sierow, tak?

BARONOWA Rzeczywiście. Jeden z jego ostatnich portretów. To był prezent od ojca, na moje osiemnaste urodziny. Niewiarygodne, że pan tak dobrze zna się na malarstwie rosyjskim!

VANCE O, w Paryżu mieszka teraz wielu Rosjan. Niektórzy świetnie znają się na obrazach. A mnie interesuje malarstwo, zwłaszcza współczesne. I widzę, że ma pani także piękne kwiaty Renoira...

BARONOWA Nie są na sprzedaż. Ale ma pan oko!

VANCE Owszem.

Łyżeczką od herbaty puka we własne oko, które wydaje szklany dźwięk. Baronowa powstrzymuje okrzyk przerażenia.

BARONOWA Boże!

Vance chichocze, zadowolony z efektu.

VANCE Przepraszam.

Teraz Baronowa się śmieje.

BARONOWA Ależ mnie pan przestraszył!

VANCE To tylko mała pamiątka z wojny. Ale jak pani widzi, to, które mi zostało, potrafię wykorzystać.

BARONOWA Ach, Vance, Vance... jest pan nieobliczalny! Wie pan... nie powinien pan wracać do hotelu. Mamy tu przejściowe trudności.

VANCE Tak, już słyszałem.

BARONOWA Ale pewnie pan nie słyszał, że w związku z tym nie powinno się chodzić po ulicach po godzinie jedenastej wieczorem. Przygotowano nawet odpowiednie zarządzenie... Wyjdzie lada godzina.

VANCE Doprawdy?

BARONOWA Za kilka dni wszystko minie... Ale co pan powie, kiedy zatrzyma pana patrol? Nie będą mówili po francusku ani po angielsku. A pan będzie musiał się wythumaczyć.

VANCE Hm... W istocie...

BARONOWA Naprawdę lepiej byłoby przenocować u mnie. Miejsca jest dosyć. Ciepło...

VANCE Cóż, jeśli naprawdę nie sprawię pani kłopotu... z przyjemnością. Szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczony.

Gospodyni wstaje i przechodzi do małego stolika, gdzie stoi patefon.

BARONOWA Nie sprawi pan kłopotu, ale przyjemność. Zaraz powiem pokojówce, żeby przygotowała pokój gościnny... Lubi pan rosyjskie romanse?

VANCE Rzadko słucham muzyki.

BARONOWA A ja nie mogę bez niej żyć. Może woli pan operę?

VANCE Cokolwiek pani zechce. Mam jeszcze jedną ogromną prośbę.

BARONOWA Jakąż to?

VANCE Do pełni szczęścia brakuje mi tylko fajki.

BARONOWA Ależ proszę!

Vance poświęca się fajkowemu ceremoniałowi. Ona starannie wybiera płytę z arią operową i nakręca patefon.

Oboje uśmiechają się do siebie bez słów. Potem jeszcze toczy się ich rozmowa, nie wiadomo o czym, przy płynącej muzyce, wśród ścian zawieszonych obrazami i fotografiami, wśród bibelotów i ładnych mebli.

39.

W niewielkim pokoju gościnnym Vance, w pulowerze, pogwizduje cichutko własną melodię; rozkoszuje się ciepłem, oparty o zawieszony na ścianie wysoki kaloryfer. Nagle słychać odgłos drzwi zamykanych na korytarzu, potem zbliżające się lekkie kroki. Vance tymczasem błyskawicznie gasi światło.

Wchodzi Baronowa, w szlafroku narzuconym na nocny negliz, i staje nad łóżkiem, zalanym światłem księżyca.

Vance, już bez butów, których cudem zdążył się pozbyć, leży na pościeli, w pozie mitologicznego kochanka, którego nagle zmorzył sen. Oddycha miarowo przez półotwarte usta.

BARONOWA Vance... Vance...

Vance śpi w najlepsze, niewinny jak dziecko.

BARONOWA Krasawiec... Elegant... ale na pewno nie gentleman.

Jeszcze chwilę obserwuje go, a potem znika za drzwiami.

Vance leży nieruchomo, nie podnosząc powiek i nie zmieniając pozycji, aż nie usłyszy jakichś głosów w dalszej części mieszkania. Wtedy bezszelestnie wstaje i przygotowuje się do prawdziwego snu. Ściąga pulower, potem spodnie, zdejmując krawat i kocherzyk. W kaletkach i koszuli owija się z przyjemnością kołdrą i kocem i natychmiast zasypia naprawdę.

26 lutego 1921

40.

Kiedy budzi się rankiem, najpierw znów przesuwając kciukiem wzdłuż talii. Zaraz potem ze zdziwieniem stwierdza, że ktoś na poręcz łóżka powiesił jego pelisę, czapkę, a obok postawił laskę. Pokój w świetle dziennym jest o wiele mniej przytulny. Vance'a przejmuje nagle dreszcz zimna.

41.

Vance, już ubrany do wyjścia, bezszelestnie przemyka korytarzem, nasłuchując odgłosów rozmowy.

W lustrze, które stoi w westybulu, widzi fragment kuchni. Mężczyzna w skórzanej kurtce je śniadanie. Stopę w wysokim wojskowym buciku postawił na leżącej pod stołem podniszczonej teczce. Baronowa nalewa mu kawę do filiżanki, muskając jego ramię tak czułym gestem, iż nie można mieć wątpliwości, że łączy ich intymność.

BARONOWA Nie wiem, co ci powiedzieć: czy wróciłeś późno, czy wróciłeś wcześniej...

FUNKCJONARIUSZ Wstąpiłem tylko na parę godzin. Może się trochę prześpię. Jestem potwornie zmęczony. Całą noc pracowałem jak wariat. Co tu tak zimno? Czyżby zabrakło nam opału? Przekroczyłeś dzienny limit? A może uważasz, że wyznaczyłem go ot, tak sobie?

Pokojówka, która nagle pojawia się za plecami Vance'a, z milczącą twarzą prowadzi go cichutko do kuchennych drzwi i wypuszcza na schody.

42.

Vance w hotelowym pokoju, przy umywalni myje ręce, podwinawszy rękawy koszuli. Piecyk już rozpalono. Portier, ostrożnie przechylając dzbanek, dolewa do miednicy gorącej wody.

PORTIER Rury wciąż zamarznięte... Pan Bunder prosił, żeby pan zostawił mu wiadomość. I telefonował kilka razy profesor Winogradów. Prosi pana dzisiaj do siebie.

VANCE Na którą?

PORTIER Zdąży pan bez kłopotu, na jedenastą, ale uprzedziłem na wszelki wypadek, że może się pan spóźnić.

VANCE Dziękuję.

PORTIER Poza tym telefonowała pani baronowa.

VANCE Kiedy?

PORTIER Przed chwilą. Chciała tylko wiedzieć, czy pan jest i kiedy pan wychodzi.

VANCE Dziękuję.

PORTIER Gdyby pan czegoś potrzebował... Po wodę proszę zawsze dzwonić do recepcji.

VANCE Nie, dziękuję na razie. A Daniła mi bardzo wczoraj pomógł.

PORTIER Cieszę się.

Portier, który wydawał się czekać nie wiadomo na co, wylewa brudną wodę z miski do wiadra i wychodzi.

Vance nalewa znowu trochę cennego płynu z dzbanka i zaczyna golić się w skupieniu.

43.

Vance, bez pelisy, ale w szaliku owiniętym wokół szyi, który nie umniejsza jego elegancji, siedzi razem z profesorem przy stole zastanym ciemnozieloną materią; stara się nie rozglądać po dużym, niemożliwie zagraconym, mrocznym pokoju.

VANCE Nie chciałyby przeszkadzać...

PROFESOR Ależ nie przeszkadzasz, Vance. Zaraz... poczekamy chwilę i przyjdą wszyscy... Powspominamy nasze wakacje w Biarritz.

Vance uśmiecha się. Profesor ścisza głos.

PROFESOR Na wszelki wypadek mówmy ciszej, sąsiedzi lubią podsłuchiwać. Teraz na szczęście prawie wszyscy wyszli. Powiem ci szczerze, Vance, że przykro mi przyjmować cię w tych warunkach, ale skonfiskowali nam większą część mieszkania. Są więc pewne niedogodności. Zresztą sam widzisz, co tu dużo mówić. Na przykład zapasy musimy trzymać w pokojach, kartofle i marchew. Kto to widział... Przepraszam za ten nieporządek.

VANCE To ja przepraszam. Musiałem zbierać się do wyjazdu nagle i mogłem wziąć niewiele bagażu, nie zdążyłem nic przygotować. Chciałbym jakoś pomóc...

Wiem, że sytuacja jest trudna.

PROFESOR Nie martw się, Vance. Bardzo się cieszę, że o nas nie zapomnieliście. Wiem, że nie odmówiłbyś mi pomocy... A znalazłeś może jakieś gazety?

VANCE Niestety.

PROFESOR A możesz mi powiedzieć, co pisze...

Nie będą omawiać ogólnej sytuacji, bo w głębi otwierają się drzwi, nadchodzi żona profesora. Vance podnosi się, ona wita się z nim dość konwencjonalnie, nawet oschle, ale w jej oku pojawia się błysk, kiedy gość wręcza jej ładnie opakowane pudełko.

PROFESOR Widzisz, Wiera, Vance przyniósł podarek dla ciebie. Czekoladki, wyobraź sobie. Paryskie!

PROFESOROWA Schowam je na Wielkanoc, pan wybacz.

Nie wypuszcza pudełka z rąk.

PROFESOR Usiądziesz z nami, moja droga? Powspominamy nasze ostatnie przedwojenne wakacje.

PROFESOROWA Nie mogę. Jeszcze nie skończyłam Jeremiasza na dzisiaj.

Oddała się majestatycznie, żeby schować prezent gdzieś w zakamarkach pokoju. Potem zaszywa się w jakimś kącie na poły ukryta za parawanem mebli.

PROFESOR Moja żona, drogi Vance, całymi dniami czyta teraz Biblię, to jej główne zajęcie. Księgę Jeremiasza, Ezechiela lub Hioba. Mam nadzieję, że jej wybaczysz brak towarzyskiego nastroju.

VANCE Oczywiście.

PROFESOR Sasza! Sasza!

44.

W przebiegu pamięci Vance wraca do jadalni w letniej willi, zalanej słońcem. Siedzi przy nakrytym stole, razem z profesorem, młodszym o siedem lat, jego majestatyczną żoną, dwiema dziewczynkami – jedenastoletnią i piętnastoletnią – oraz ich guwernantką. Widzi – nie słyszy – wołającego profesora i spóźnionego Saszę, stojącego w drzwiach – pięknego chłopca o nieco aroganckim uroku, nie zdradzającego żadnych wyrzutów sumienia.

45.

Vance w ułamku sekundy opanowuje emocję i nie wygląda ani na zaskoczonego, ani na rozczerowanego, kiedy z głębi mieszkania wychodzi młoda kobieta, niosąc na tacy filiżanki.

PROFESOR Pamiętasz moją starszą córkę?

Sasza swobodnie i z wdziękiem wita się z gościem. Dosiada się do rozmowy.

SASZA Pamiętam pana dobrze.

PROFESOR W 1914 była jeszcze dziewczynką, a teraz już pracuje. A wiesz gdzie? W encyklopedii literatury światowej. Tłumaczy. Interesuje się literaturą chińską... A gdzie Nadia? Nadia, moja druga córka, zaczęła studiować malarstwo. Gdzie ona się podziewa?

SASZA Zaraz przyjdzie, papo.

PROFESOR A samowar nastawiony?

SASZA Zaraz będzie, obowiązkowo.

PROFESOR Nie miej nam za złe, że tak skromnie cię przyjmujemy.

Zjawia się Nadia, młodsza córka profesora. Wita Vance'a zdawkowo, bez serdeczności siostry, i natychmiast odsuwa się w ostentacyjną obojętność, niemal niegrzeczną.

NADIA Przepraszam, ale muszę wyręczyć nianię i podłożyć do pieca.

PROFESOR Vance, czy wiesz, jak nazywamy taki piec? Burżujka. Nasz mały mieszczkański luksus. Przynajmniej karaluchy wymarzyły od tego mrozu.

NADIA Muszę coś spalić...

PROFESOR Moja droga, tam odłożyłem taki stos, do spalania...

Dziewczyna kuli się w kącie koło pieca. Niezręcznie przekłada książki.

NADIA Tego nie włożę do ognia, papo. Nie, nie Conan Doyle'a.

PROFESOR Przecież nie spalimy Brockhausa.

SASZA Wolę już spalić krzesła.

NADIA Brockhaus nie będzie się palić, te okładki są zimne jak żelazo.

PROFESOR Pal, co chcesz. Przepraszam cię, Vance... rozumiesz, życiowe sprawy.

VANCE Rozumiem. W hotelu też są kłopoty z opałem.

Nadia mimo wszystko wybrała do spalania papiery: wyciągnięte spod książek jakieś szkolne szkice i abstrakcyjne geometryczne kompozycje. Pieczolowicie wkłada je do pieca razem z kilkoma szczapami drewna, patrząc, jak zwijają się w płomieniach. Zostaje na klęczkach przy otwartych drzwiczkach, napawając się ciepłem ognia, wyłączona z towarzystwa, które siedzi przy stole.

PROFESOR Tak, Vance, tak... Bałem się, że jesteś takim sportsmenem rewolucji, Vance. Ze przyjechałeś robić rewolucję dla sportu.

VANCE Nie uprawiam żadnego sportu.

SASZA W Biarritz grał pan w tenisa.

VANCE Od wojny nie miałem rakiety w ręku.

Bardzo stara kobieta wchodzi bez pukania z korytarza i stawia na stole gorący samowar. Nadia na jej widok wstaje i znika za nią w jakimś pomieszczeniu w głębi mieszkania.

PROFESOR Pozwól, Vance.

Sasza zajmuje się herbatą. Nadia wraca, taszcząc tacę z talerzykami konfitur. Tym razem zostaje przy stole i pomaga siostrze serwować poczęstunek. W korytarzu akurat rozlegają się odgłosy rąbania drzewa, i prawie równocześnie jazgot rozpoczynającej się awantury, która jednak szybko zamiera, bo domorosły drwal poprzestaje na kilku uderzeniach siekierą. Tylko Nadia się krzywi, pozostali ostentacyjnie ignorują incydent. Sasza wymienia z gościem uprzejme uśmiechy.

PROFESOR Zapraszam cię na „lunch”, Vance. Co prawda jedzenie będzie mało wykwintne, tylko kartofle i płotki kaspijskie, ale mam nadzieję, że nie odmówisz. Posiedzimy, opowiesz nam o wszystkim... Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jestem ci wdzięczny za cygara. Jedynie papierosów i zapalek mamy pod dostatkiem. I herbaty nam nie brak. Herbaty i debaty...

NADIA Papo...

Mierząc ojca karcącym spojrzeniem, wstaje od stołu i znowu klęka przed piecem.

PROFESOR Moja córka uważa, że ja się skarżę.

Vance tymczasem nie może oderwać oka od niepozornego obrazka wiszącego w niepozornym miejscu.

VANCE Interesujące malarstwo. Czy to nie Kandinsky?

PROFESOR Tak. Widzę, że znasz się doskonale na sztuce, Vance. W Biarritz tego nie zauważyłem.

VANCE Bo serio zainteresowałem się malarstwem, kiedy odesłali mnie z frontu. Byłem ranny i leżałem w szpitalu, w Szkocji. Właśnie tam zacząłem robić użytek ze swego oka.

PROFESOR Mógłbyś znaleźć wspólne tematy z Nadią... Nadiu... A gdzie byłeś ranny?...

Ktoś zdecydowanie puka do drzwi, profesor nie czeka na odpowiedź, niemile zaskoczony idzie otworzyć. Wybucho jednak szczera radością na widok przybysza – nieco starszego od Vance'a mężczyzny w długim szynelu bez dystynkcji, postawnego, energicznego, z porządnie przyciętą jasną brodą. Powstaje małe zamieszanie, kiedy pozostali domownicy witają go serdecznie, a on wiesza płaszcz na stojącym przy drzwiach wieszaku, obok pelisy Vance'a, którą obrzuca szybkim spojrzeniem. Nadia znowu znika, żeby szybko postawić na stole nowe nakrycie. Nawet profesorowa opuszcza swą kryjówkę. Pan domu stara się opanować chaos i pokierować prezentacją.

PROFESOR Mamy dzisiaj wspaniałych gości. To, mój drogi, nasz znajomy sprzed wojny. Przyjechał aż z Anglii.

VANCE Ścisłej mówiąc z Francji.

STIOPA A ja z Kronsztadu.

PROFESOR To nasz dawny sąsiad, absolwent Akademii Medyczno-Wojskowej.

Kapitan Andriejew. Służy na liniowcu w Kronsztadzie.

STIOPA Nie przyjechałem w mundurze. Po prostu Stiopa.

Wymieniają uścisk dłoni. Nagle zainteresowanie wszystkich skupia się na Stiopie.

VANCE Kronsztad, Kronsztad...

PROFESOR To port, Vance. Port u wrót naszej zatoki, gdzie stacjonuje marynarka wojenna. Nasza „czerwona flota”. Nie bardzo daleko stąd, ale ostatnio trudno się tam dostać. Nie stójcie tak, siadajmy, kochani.

PROFESOROWA Dawno cię nie było...

STIOPA W końcu wyrwałem się, żeby odwiedzić matkę. I zobaczyć, co się dzieje. Te strajki...

PROFESOR Ciszej, mój miły, jeszcze ktoś usłyszy i doniesie, że knujemy jakąś polityczną intrygę...

STIOPA I prawie będzie miał rację. U nas ciągle zebrania politycznych oficerów. Parę dni temu wysłaliśmy tu naszą oficjalną delegację. Spotkali się z robotnikami.

Chcemy wiedzieć, jak teraz rozwija się sytuacja. Nas starają się przekonać, że to prowokacja, kontrewolucja i szpiegzy Ententy.

Przeprosiwszy towarzystwo, profesorowa odchodzi, ostentacyjnie demonstrując swoje désinterressement wobec polityki.

PROFESOR I co, wierzycie w to?

STIOPA Wierzymy własnym oczom i własnym żołądkom.

PROFESOR Właśnie, właśnie... Sprzedadzą się za woreczek mąki i cukru.

STIOPA Tak pan sądzi, profesorze?

PROFESOR Tak sądzę, bo podejrzewam, że ja bym się sprzedał. Niedawno myślałem, że duszę oddałbym za butlę nafty.

Na korytarzu słychać dzwonek telefonu, wreszcie jakieś kroki i wrzask: „Telefon do Winogradowa!”. Wzywany, wzdychając, wstaje, wychodzi i słychać, jak stawia czoło żywiołowym wyrzutom.

STIOPA Pan na długo u nas?

VANCE Raczej nie.

STIOPA To znaczy pan wraca, nie zostaje pan w Rosji?

VANCE Takie mam plany.

STIOPA Jest pan komunistą? A może socjalistą?

VANCE Mnie urządzenie społeczeństwa nie interesuje. Nie mam takich ambicji.

STIOPA Oryginał z pana. Angielski ekscentryk. Po co pan właściwie przyjechał?

VANCE Między innymi odwiedzić starych znajomych. A pan? Pan jest komunistą?

STIOPA Zawsze będę bronił słabych, biednych i skrzywdzonych. Niech pan to nazywa, jak pan chce. Ale nie należę do partii.

SASZA Przestań przesłuchiwać człowieka, Stiepanie Pawłowiczu. Ja też mam zasadnicze pytania do ciebie. Głodny jesteś? Zjesz z nami? Coś w rodzaju obiadu?

STIOPA Nie. Wstąpiłem tylko, żeby was zobaczyć. Wszyscy zdrowi? A niania jak się czuje?

SASZA Zdrowi, zdrowi. To najważniejsze.

NADIA Niania czuje się lepiej, ale trochę się boimy, a mamie serce wciąż dokucza.

SASZA Na długo przyjechałeś?

STIOPA Jak zwykle, na krótko.

SASZA Dzisiaj wracasz?

STIOPA Powinienem. Dobrze, pójde porozmawiać z Wierą Iwanowną.

Z trudem lawirując między meblami, odnajduje drogę do profesorowej.

Vance tymczasem dyskretnie wędruje wzrokiem po zakamarkach mieszkania, po pięknych meblach, w tłoku tracących cały swój blask, obstawionych jakimiś workami, obłożonych skrzyniami, paczkami, tobołkami. Znowu zatrzymuje wzrok na obrazku Kandinsky'ego.

NADIA Czy nie jest pan przypadkiem agentem angielskiego kontrwywiadu?

Starsza siostra jęczy ze zgrozy.

SASZA Ale co ty gadasz...!

NADIA Przecież żartowałam. Trzeba bawić gościa.

Vance jej zaczepkę traktuje również jako żart.

VANCE Nie jestem. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Powrót profesora rozładowuje napięcie między jego córkami.

PROFESOR To była wiadomość dla ciebie, Vance. Widzę, że nawiązałeś tu atrakcyjne znajomości... Powinieneś zjawić się za godzinę w muzeum. Czy mógłbyś dać mi kawałek papieru, narysuję ci, jak tam wejść...

Vance, na którego dziewczęta patrzą z nowym zainteresowaniem, podsuwa mu swój notes i ołówek. Profesor kreśli plan, mówi, nie odrywając oczu od kartki.

PROFESOR Mam prośbę do ciebie, Vance. Czy mógłbyś potowarzyszyć moim córkom dziś wieczorem? Idą na pożegnanie karnawału, bo wyobraź sobie, zaczynamy post. Chciałbym, żebyś poszedł z nimi. Tak rzadko teraz mają okazję spotkać kogoś... z zewnątrz. Mógłbyś to dla mnie zrobić, Vance?

VANCE Chyba tak.

SASZA Ależ papo, nie można człowieka zmuszać!

VANCE To będzie dla mnie przyjemność.

NADIA Rzeczywiście?

PROFESOR Mam wrażenie, że Nadia już zapomina, jak się wystawić po angielsku. Przyda się jej trochę konwersacji. Przyjdź więc o szóstej wieczorem.

VANCE Wolałbym później. O szóstej mogę mieć spotkanie.

PROFESOR Ach, tak... Dobrze, możecie pójść piechotą. Oczywiście wcześniej też będziesz mile widziany.

Oddaje mu notes. Stiopa wychodzi zza ściany mebli. Vance korzysta z okazji i odsuwa krzesło, zbierając się do wyjścia.

PROFESOR Masz jeszcze trochę czasu. Mógłbyś zjeść z nami. Kartofle zaraz będą.

VANCE Nie znam miasta... Nie chciałbym się spóźnić.

Wkłada pelisę, opatulając się starannie. Kapitan sięga po swój szynel.

PROFESOR A ty, Stiopa? Też już uciekasz?

STIOPA Tak, ale postaram się zająć jeszcze przed powrotem na parę słów. Przy okazji pokażę drogę panu.

PROFESOR Tak, tak, koniecznie. Zaopiekuj się nim.

Cała rodzina, również profesorowa, która znów się pojawia, żegna się – z Vance'em uprzejmie, z lekarzem okrętowym bardzo serdecznie.

46.

Kapitan, przyjaźnie uśmiechnięty, prowadzi Vance'a przez wąski przesmyk korytarza, równie zagraconego, jak pokój, który przed chwilą opuścili, w stronę drzwi frontowych dawnego mieszkania Winogradów.

STIOPA Tędy.

47.

Wychodzą na główną, dawniej reprezentacyjną klatkę schodową. Vance obrzuca spojrzeniem secesyjne witraże w oknach, niemal nie zniszczone, patrząc w górę, potem w dół spirali marmurowych schodów, pozbawionych poręczy, okolonych tylko żelazną palisadą złowrogo zaostrzonych balasek. W dole piętrzy się kupa śmieci wśród resztek zdeformowanego szkieletu windy. Vance odruchowo krzywi się od smrodu.

STIOPA Ma pan jeszcze trochę czasu. Pokażę panu sympatyczne miejsce. Kiedy pan chodzi po mieście, można tam wstąpić, napić się czegoś gorącego, coś zjeść.

VANCE To bardzo miło z pana strony.

48.

Na ulicy zatrzymują się przy narożnym domu. Nad schodkami, prowadzącymi do suterenu, wisi szyld z rosyjskimi literami „Warszawianka”.

STIOPA Stąd za dziesięć minut będzie pan w muzeum. A „Warszawianka” – to znaczy mieszkanka Warszawy. Kawiarnię prowadzą dwie Polki.

Vance chce coś powiedzieć, ale tylko para unosi się mu z ust. Kapitan zapraszającym gestem zagarnia go na schodki, puszczając przodem.

49.

Stoją przed ladą, za którą krzątają się dwie ekspedientki, dziewczyny z grzywką, bardzo podobne do siebie, według wszelkiego prawdopodobieństwa siostry.

STIOPA Ciastka z makiem zawsze tu były najlepsze.

VANCE Dobrze, może być z makiem. Mogę pana zaprosić?

STIOPA Następnym razem.

Kapitan składa zamówienie. Odbierają herbatę i ciastka i żeglują z nimi w zaciszy załom małej sali, gdzie zajęta jest mniej więcej połowa krzesel. Siedząc przy prymitywnym stoliku, nakrytym ceratą, prowadzą dialog półgłosem, dostrajając się do ogólnego szmeru cichych rozmów.

STIOPA Niech się pan nie rozbiera, tu przecież nie palą...

VANCE Dziwny smak ma ta herbata.

STIOPA Jest z marchwi. Widocznie dziewczęta nie dostały prawdziwej. Ale ciastka są dobre.

VANCE Tak, rzeczywiście.

STIOPA Po co pan tu przyjechał?

VANCE Nie z powodów politycznych w każdym razie.

STIOPA W każdym razie pan tu jest. Chciałby pan wiedzieć, co się tu dzieje?

VANCE Zamieszki... Stan wojenny...

STIOPA I nie wiadomo, kto z kim walczy, i nie wiadomo, o co chodzi...

VANCE Według mnie chodzi o życie. Ludzie walczą o życie. Tylko nie wiem z kim. Z władzą? Z mrozem?

STIOPA Ja też się nad tym zastanawiam. Wie pan, coś się zaczęło. Jakby nagle skończyła się cierpliwość. Może to punkt przesilenia. Ja jestem lekarzem – każda choroba osiąga pełnię swoich możliwości, a potem albo trup, albo wesele. Może teraz coś się zmieni na lepsze. Doprawdy, przyjechał pan w dziwnym momencie. Widział pan tu coś ciekawego?

VANCE Piekielny mróz, ja go wręcz widzę.

STIOPA Dobrze, dobrze... A nasz nowy porządek?

VANCE Widziałem więcej nędzy niż bogactwa. Być może na tym polega demokracja, ale chyba to nie jest sprawiedliwość. Może po prostu nie zdążyłem zauważyć.

STIOPA Coś jeszcze?

VANCE Strzały na ulicy...

STIOPA Kiedy?

VANCE Wczoraj, wczesnym popołudniem.

STIOPA Tak, ale nie wiadomo jeszcze, co z tego wyniknie. Moim zdaniem, umie pan patrzeć. To wystarczy. I myślę, że potrafiłby pan o tym opowiedzieć.

VANCE Nie przypuszczam...

STIOPA Niestety, potrzebny panu tłumacz.

Zza lady wyszła jedna z warszawianek i zmierza wprost do ich stolika.

EKSPEDIENTKA Przepraszam. Pan przyjechał z zagranicy, prawda? Był pan może w Warszawie? Może pan słyszał coś o Polakach, którzy byli w Astrachaniu, na Północy? Nie mamy żadnych wiadomości od brata, od wielu miesięcy.

VANCE Czytałem w gazecie, że jacyś Polacy uciekli do Polski przez Mandżurię.

W oczach dziewczyny rozbłysła taka nadzieja, że Vance czuje się zażenowany.

EKSPEDIENTKA Ma pan może tę gazetę?

VANCE Nie, niestety. Ale to prawda.

Dziewczyna wraca na swoje miejsce.

VANCE Profesor Winogradow także pytał mnie o gazetę. Dawno zna pan profesora?

STIOPA Od dziecka. Mój ojciec był dozorcą w tej kamienicy. Jeszcze kiedy żył, Winogradow zaopiekował się mną. Zdołałem się wykształcić właściwie dzięki niemu. To wspaniały człowiek. Zawsze był demokratą. Mam wobec niego dług wdzięczności.

VANCE A co się stało z jego synem? Zna go pan?

STIOPA Saszę? Nie bardzo. Był dzieckiem, kiedy wstąpiłem do marynarki. A co się z nim stało, właściwie nie wiadomo. Rozmawiał pan przed chwilą z tą Polką. Taką historię można pomnożyć przez dziesięć milionów kilometrów kwadratowych Rosji.

VANCE Ale przecież może się zdarzyć...

STIOPA Chyba cud... Tu na każdym kilometrze kwadratowym potrzebny byłby cud... Właściwie wiele cudów. Cuda na kilometry.

Vance siedzi milcząco. Pierwszy odzywa się kapitan, popatrzywszy na zegarek.

STIOPA Na mnie już czas. Nie żegnam się, na pewno się jeszcze zobaczymy... Pan też musi już iść.

Obaj wstają od stolika. Vance próbuje się jeszcze szczelniej owinąć szalikiem, skrepowany spojrzeniem dwóch dziewcząt zza lady.

50.

Vance, w rozpiętej pelisie, rozgląda się oszołomiony w krótkim korytarzu, który okazuje się zapchany od podłogi niemal po sufit inkrustowanymi sekretarzami. Kustosz, zdyszany, na wszelki wypadek ścisza głos.

KUSTOSZ Przepraszam, że musiałem odejść. Był telefon z Moskwy. Ale przynajmniej mógł pan obejrzeć nasze zbiory.

VANCE Przeszedłem się tylko przez jedną salę.

KUSTOSZ Proszę przyjść we wtorek, chyba będę mógł panu pokazać więcej. Wracając do naszej sprawy – teraz nic nie mogę zrobić. Dam znać, kiedy to będzie możliwe.

VANCE Kiedy, pana zdaniem?

KUSTOSZ Sądę, że za pół roku. Za pół roku będziemy wyprzedawać część prywatnych kolekcji. Może nawet nie tylko...

VANCE Władze na to pozwolą?

KUSTOSZ Władze to nakazą... Sam pan rozumie: jesteśmy biedni – po wojnie.

Znacząco zawiesza głos.

VANCE Mąka za Rembrandta?

KUSTOSZ Jest pan bardzo bliski prawdy.

Vance przetrwaja tę niezwykłą wiadomość.

VANCE Co właściwie?

KUSTOSZ Prawdopodobnie jeden z portretów.

VANCE A kolekcja pana Nienazwanowa? Też będzie na sprzedaż?

KUSTOSZ Nie została... przejęta. Nie wiadomo, gdzie jest. Przynajmniej ja nie wiem. Mam nadzieję, że ocalała. Były tam wspaniałe płótna...

VANCE Przypuszczam, że jest pan też kolekcjonerem...

Kustosz zdeorientowany patrzy na niego. Vance podaje mu złotą monetę i tamten chowa ją, nie ukrywając radości.

VANCE Wspaniały okaz numizmatyczny, prawda?... Pan Devries będzie wdzięczny za wiadomości z pierwszej ręki. Co będzie można kupić...

Wręcza kustoszowi nie wiadomo skąd wydobytą drugą monetę.

VANCE I kiedy. Oczywiście za ile też. Jest nie tylko właścicielem galerii, sam także... kolekcjonuje.

KUSTOSZ Zrobię, co będę mógł.

VANCE Rozumiem.

KUSTOSZ Teraz muszę wracać, niestety. Pójdziemy do wyjścia, sam pan nie trafi.

51.

Kustosza prowadzi Vance'a przez labirynt wąskich schodów, raz kilka stopni w górę, raz w dół.

52.

Vance nagle zatrzymuje się osłupiały na widok ogromnej sterty ikon, piętrzącej się w sporym, otwartym pomieszczeniu. Muzealnik z ironicznym grymasem obserwuje jego zdziwienie.

KUSTOSZ Są jeszcze nie zinwentaryzowane.

VANCE Czegoś takiego nie widziałem... To niezwykle... Co prawda, zupełnie się na tym nie znam. Zajmuję się tylko sztuką współczesną.

KUSTOSZ Robi to na panu wrażenie?

Vance mruczy coś, stając w progu i nie odrywając wzroku od ikon, walających się tu i ówdzie na podłodze.

KUSTOSZ Myślę, że za parę miesięcy też będziemy je sprzedawać. Oczywiście wyłącznie za granicę. Rzecz jasna, o ile ktoś byłby tym zainteresowany. To raczej dla amatorów.

VANCE Jakie są ceny?

KUSTOSZ Jest pan zainteresowany kupnem?

VANCE Tak. Gdyby było można, kupiłbym właśnie to.

Przykuca i przygląda się ciemnoookiej twarzy Chrystusa na wierzchu rzuconej nie-dbale kupy ikon, odartych z koszulek.

VANCE Chciałbym, żeby na mnie ktoś tak patrzył, jak tutaj...

KUSTOSZ Proszę więc to wziąć. Dam tę ikonę panu za darmo. Niech się pan nie dziwi – gdybym na niej zarobił, to byłby grzech. Tylko niech pan nikomu nie mówi o naszej transakcji.

VANCE Nie powiem, obiecuje.

KUSTOSZ Nawiasem mówiąc, dokonał pan wspańiałego wyboru. To prawdziwa perła. Znakomita kopia ikony czternastowiecznej.

Vance trzyma w ręku małą deskę, niewiele większą od dłoni.

KUSTOSZ Proszę ją tylko szanować. Dla nas, Rosjan – to była świętość.

VANCE Będę. Bardzo panu dziękuję. Nikt tego nie pilnuje?

Podnosi się i chowa ikonę za pazuchę pelisy, raz jeszcze omiatając niedowierzającym spojrzeniem składowisko ikon.

KUSTOSZ Teraz to już nic niewarte.

53.

W drzwiach hotelowego pokoju Vance'a przytępuje Morris.

MORRIS Nareszcie się zjawiłeś. Wiesz, gdzie wczoraj byłem? W teatrze na „Kupcu weneckim”. A ty widziałeś coś ciekawego?

VANCE Tak. Muzeum. Wejdz. Jak się rozwija rewolucja?

MORRIS Robotników musi poprzeć wojsko. Wszystko zależy od Kronsztadu.

VANCE Wiesz, dziwnie się składa. Rozmawiałem dzisiaj z marynarzem z Kronsztadu.

MORRIS Jak to, rozmawiałeś?

VANCE Spotkałem go przypadkowo, u starych znajomych.

MORRIS Rozmawiałeś z nim?! I co mówił?! Przecież ja szukam wszelkich kontaktów! Co oni mówią?

VANCE On sam przyjechał zorientować się, co się tu dzieje.

MORRIS O wszystkim zadecyduje Kronsztad, mówię ci. Czy wiesz, co może teraz się stać! Robotnicy wygryją, jeśli poprze ich czerwona flota! Będzie sprawiedliwość! Socjalizm bez... bez tej męczarni...

VANCE Doprawdy? Może się zmienić władza?

MORRIS Nie uwierzysz, ale tak. Musisz skontaktować mnie z tym człowiekiem.

VANCE Spróbuję, jeśli to będzie możliwe.

MORRIS Pójdiesz ze mną na wiec?

VANCE Jeszcze się nie skończył?

MORRIS Dlaczego stroisz sobie żarty? Jestem oburzony. Ciagle nie widzisz, jakie poważne rzeczy tu się dzieją? Przecież to sprawa gardłowa dla wszystkich... Może nawet dla całego świata!

VANCE Przepraszam. To tylko z przekory. Muszę wyjść za jakiś czas, śpieszę się. I jeśli chcesz mieć jakiś kontakt z Kronsztadem, powinienes mi pozwolić. To w twoim własnym interesie. Wierz mi, jestem zajęty. Jutro.

Morris kiwa głową ze sceptycznym grymasem, ale już udobruchany.

54.

Wieczorem Vance znów kręci się przy kamiennym mostku niedaleko banku, w młym świetle latarni obok zamkniętej apteki.

Rozgląda się wokół, ściskając laskę. Czeką chwilę, obserwując jakiś ludzki tułub, poruszający się z trudnością. Poza tym nie ma nikogo.

Vance zmarznięty odchodzi.

55.

Razem z córkami profesora wspina się po stromych drewnianych schodach bez poręczy.

Docierają na strych, który jak kawiarnia szumi licznymi głosami. Przez ramię jednej z dziewcząt widać na uchylonych drzwiach rosyjską tabliczkę, pochodzącą najwyraźniej z odległej epoki: „Nettelbaum – fotograf”. Vance zdejmując czapkę i rozpi-
na pelisę.

56.

Zanurzają się w ścisk i gwar, rozmowy i bezładne krzyki. Nad tłumem głów wisi gęsta chmura papierosowego dymu. Siostry Winogradów od razu gdzieś znikają. Oszołomiony Vance próbuje odnaleźć się w obcym towarzystwie. Chwyta jakieś pojedyncze słowa z toczących się wokół rozmów, „Belgrad” i „Homeopatia”:

– Rodzice z Grecji pojechali do Belgradu. Dziadek zmarł na Ukrainie i babka tam została. Nie chciała jechać dalej, nie chciała uciekać. Ja wróciłem.

– I co teraz zrobisz?

– Ja uznaję tylko homeopatię.

– Musicie jechać do Jepinacha. Ten Jepinach ją uzdrowił.

U jego boku wyrasta znów Sasza – ciągnie go za łokieć, podając nie wiadomo jak zdobytą szklankę. Vance upija łyk, który odbiera mu oddech. Wraca do siebie i w hałasie szepcze pytanie wprost do ucha dziewczyny. Ona próbuje napoju ze swojej szklanki i bez większego wrażenia zastanawia się chwilę.

SASZA Kompot jabłkowy ze spirytusem. Smakuje?

Vance uśmiecha się uprzejmie. Dziewczyna wybucha śmiechem. Nagle ktoś krzyczy: „Konkurs, konkurs!”, i to hasło błyskawicznie elektryzuje całą salę. Zainteresowanie wszystkich przenosi się w jedną część pomieszczenia. Vance nagle ze zdumieniem odkrywa, że znalazł się w kole widzów, pozerających go wzrokiem. Sasza, stając przy nim, wchodzi w rolę prezentera.

SASZA Anglik, proszę państwa. Porządna zimowa pelisa i czapka, wspaniała na mróz. Krawat prawdziwy, nie papierowy! Kołnierzyk i mankiety również! Normalny człowiek. Proszę patrzeć i podziwiać! Szczególną uwagę proszę zwrócić na oryginalne sznurowadła!

Nabożny zachwyt zebranych.

Wtedy Vance, dla dopełnienia obrazu, a także dlatego, by nie stracić kontenansu, odstawia szklankę napitku na podłogę i z laską pod pachą flegmatycznie nabija sobie fajkę. Obserwują go eleganckie marynarki, z byle czym zamiast kamizelek, workowate spodnie, swetry i wytarte futra, lekkie sukienki opatulone w grube szale. Uwaga wszystkich skupia się na jego żółtych, wysokich, sznurowanych butach.

Czyż głos z tłumu, niewykłuczone, że Nadii, demaskuje oszustwo: „Przecież to prawdziwy, nie przebrany!” Huragan śmiechu wyzwala Vance’a z kręgu spojrzeń. Jego honorowe miejsce na środku koła zajmuje dziewczyna ubrana w krwistą czerwień. Vance przeciska się przez tłum, który próbuje rozwiązać zagadkę jej kostiumu, podając różne odpowiedzi: „Wolność na barykadzie!”, „Ojczyzna proletariatu!”, „Prostyutka!”

Vance widzi teraz, że znajduje się w obszernym atelier, gdzie ściany zawieszono są ciężkimi kotarami. Pod nieosłoniętym fragmentem muru króluje piecyk, z fantastycznie wijącą się gdzieś pod sufitem rurą – obiekt jak z Duchampa, połączony wymyślnie z bidetem. Przy piecyku niezwykle eleganckie szczapy czarnego, błyszczącego lakierem drewna. Niedaleko ktoś pilnuje samowara. Na zestawionych stołach urządzono bufet; butelki, szklanki, talerzyki z nędznymi rybkami i wspaniałe łabędź z lodu. Kręci się tam paru amatorów.

Jakiś młody człowiek częstuje się kawałkiem łabędzia.

MŁODY CZŁOWIEK To do jedzenia. U nas pije się wódkę, a je się wodę.

Demonstruje na benefis Vance’a właściwą kolejność.

INNY MŁODY CZŁOWIEK Cieszę się, że pana poznałem. Jestem monarchistą.

VANCE Doprawdy?

Unika politycznej dyskusji, bo porywają go jakieś dziewczęta, ciekawe, co się nosi w Londynie i w Paryżu. Na kartce wyrwanej z notesu Vance szkicuje im fason sukienki o modnej linii. One śledzą pilnie ruchy jego ołówka.

DZIEWCZYNA Jaki ładny ołówek... Dawno takiego nie widziałam. Mogę wziąć sobie ten rysunek?

VANCE Proszę...

Ołówek chowa jednak do kieszeni.

DZIEWCZYNA Dziękuję bardzo! A co się tańczy?

VANCE Foxtrot, one-step, tango.

DZIEWCZYNA Nic nowego?

VANCE Chyba nie jestem w tej dziedzinie wielkim ekspertem.

Tłum rozproszył się już po całej sali. Ktoś przygrywa na mandolinie. Vance znów natyka się na Saszę, w gorączce zabawy.

VANCE Kto wygrał konkurs?

SASZA Nie wiem. Nieważne.

VANCE Jaka była nagroda?

SASZA Wiadro węgla. Obawiam się, że nie doniósłby pan tego do hotelu...

Piecyk rażno się pali, dokarmiony nagrodą. Wiadro stoi obok, pełne jeszcze w trzech czwartych.

Znienacka rozbrzmiewają fortepianowe akordy. Ponad głowami gości Vance widzi, jak ktoś z głową krokodyla z papier maché gra z werwą na fortepianie, pozbawionym czarnej, błyszczącej kłapy. Pianista intonuje piosenkę, którą natychmiast podchwytuje cała sala, coraz bardziej podochocona:

Po ulice chodziła

Bolszaja krokodziła

I wsia ona

Zielonaja była!

Wo rtu ona dierzała

Kusoczek odiejała

I dumala ona

Szto eto postiała!

Vance obserwuje niezwykle i niepojęte rozbawienie Rosjan, stojących przy nim. Obok fortepianu wykonuje składowe taneczny numer kabaretowy czterech obdartych Chaplinów.

Po kupletach rozlega się muzyka do tańca. W części sali, gdzie stoi fortepian, samorzutnie rozwija się dancing. Przed Vance’em przesuwa się wirująca para, która wydaje się ubrana nienagannie, jak na bal, przynajmniej póki nie spojrzeć na ich ordynarne buty na wojłkowej podeszwie.

Vance najwidoczniej nie zamierza z nikim tańczyć. Stara się przenieść gdzie indziej, lawirując między grupkami rozmawiających. Niewiele zresztą pojmuje z gwaru głosów, choć wpatruje się uważnie w mówiące twarze, jakby szukając w nich dopełnienia pojedynczych wyrazów, które zdołał zrozumieć: „Marks”, „Mars”, „Rewolucja”.

– Prorok Marks i jego święte pismo nie udzielają żadnych wskazówek w tej materii.

– Na popiersiach Marksa można nieźle zarobić.

– A ja mówię, że nie dotrąją do wiosny.

– To samo przecież mówili wszyscy trzy lata temu.

– Ale wtedy Mars był w innej pozycji do Słońca!

– Piszę sztukę na konkurs sztuk rewolucyjnych.

– I tak zaraz zamkną teatry.

W tłumie ktoś odnajduje Vance’a.

MĘŻCZYŻNA Czy weźmie pan list?

VANCE Tak.

MĘŻCZYŻNA Dobrze, szybko go napiszę.

Proszący znika, jakby natychmiast chciał się zabrać do pisania.

Naraz Vance wyławia magiczne słowo: „Kronsztad”.

– Pojedziesz do Kronsztadu?

– Kronsztad nie ma żadnych szans, jeśli Piter się nie ruszy.

Rozmówcy zmieniają temat, kiedy widzą, że ktoś znalazł się w zasięgu ich głosu. Przez salę przebiega kolejne hasło do zabawy: „ciuciubabka!”, jednak zaraz wyparte przez inne: „marmurki!”. Na parkiecie w okolicach fortepianu bawiący się zastygają nieruchomo po głośnie wyliczance.

Vance odnajduje samotną Saszę, odpoczywającą z papierosem w zacisznym kącie.

VANCE Można?

SASZA Po walcu zawsze kręci mi się w głowie. Jak pan się bawi, Vance?

VANCE Dziękuję.

Młody człowiek podchodzi i prosi Saszę o papierosa.

SASZA Weź, jeśli chcesz.

Śmieją się.

SASZA Poznajcie się. Serge Suchorow. Vance Abbott. Serge jest egiptologiem. Vance jest...

SUCHOROW Wiem, wiem. Nadia mi o panu mówiła.

VANCE Czyta pan hieroglify?

SUCHOROW Nie tylko. Mam też różne inne umiejętności.

SASZA Opowiedz nam o Afryce, Serge. Będzie ciepło.

SUCHOROW Innym razem. Może się jeszcze spotkamy.

VANCE Owszem, będzie bardzo miło.

SUCHOROW Zostajesz, Sasza, do rana, czy idziesz już? Jeszcze zdążysz przed godziną milicyjną.

SASZA Zostajemy. Miło tutaj.

SUCHOROW Pewnie. Palą moim węglem.

SASZA Ach, to ty wygrałeś.

SUCHOROW Chyba już wrócę do domu. Miło było pana poznać. Boję się tylko, żeby Lew nie spalił mojego krokodyla. Zostawiam go tutaj. Powiedz mu, z łaski swojej, że przyjdę po niego pojutrze.

SASZA Dobrze, powiem Lowie. Świetnie zrobiony ten krokodyl.

SUCHOROW Tylko kiedy łeb wsadzić na głowę, robi się nieprzyjemnie. W środku ciasno i duszno. A dla ogona musiałem zrobić specjalne rozcięcie w starym zakiecie.

Suchorow wymienia z nimi uściski dłoni na pożegnanie.

Vance zręcznie chowa do kieszeni skrawek papieru, który ex-krokodyl niepostrzeżenie wsunął mu w rękę, posyłając mu przenikliwe spojrzenie.

Nagle cichną rozmowy i słychać arię operową z płyty.

Ktoś mówi głośno: „Czy wiecie, że on wyjeżdża?”

„Wiemy, wiemy” – odpowiada cały chór, a ktoś niewidoczny dodaje, że Nikołka żeni się z jego akompaniaturką. Ktoś inny niecierpliwie krzyczy „Cicho!”

VANCE Już to słyszałem po przyjeździe do Petersburga.

Sasza nie odpowiada, zaszuchana.

Po raz kolejny zmienia się nastrój, wraca szum rozmów. Vance spacerując po sali potyka się o mężczyznę, który twierdził, że napisze list, a teraz już chrapie, kompletnie pijany.

Jakaś kobieta zaczyna śpiewać romans: „Nie ujeżdżaj, ty mój gołubczyk, pieczalna zizn mnie bież ciebie”. Towarzyszy jej fortepian, a potem dołączają się skrzypce.

Vance siada na wolnym krześle i wydaje mu się, że już do rana słucha tylko tego romansu. Jeszcze z kimś rozmawia, nie wiadomo o czym, ale słuchacze obojga płci chłoną jego opowieść z wyraźnym zainteresowaniem.

W końcu zaszywa się w zakątku blisko samowara i ogołoconego kompletnie bufetu. Gdzieś w okolicach fortepianu trwa jeszcze zażarta dyskusja, sądząc po rozgłoszanych twarzach i zapalczawych gestach. Reszta gości śpi, gdzie popadnie.

Vance wciąż czuwa, kiedy przez szparę w ciężkich zasłonach wpada promień słońca.

27 lutego 1921, niedziela

57.

Zalana rannym słońcem ulica, przed bramą domu, z której wylania się po nocnej zabawie cała grupa gości; w zamieszaniu wszyscy serdecznie żegnają się ze wszystkimi. Jakaś dziewczyna zaczyna beztrosko tańczyć solo na oblodzonym trotuarze. Znajomi, idący w innym kierunku, zatrzymują jeszcze siostry Winogradów.

SASZA Zaraz pana dogonimy, Vance. Jeśli będzie pan stał, bardziej pan zmarznie. Proszę iść prosto przez most, o, tam.

58.

Vance posłusznie sam wchodzi na most, oglądając panoramę na drugim brzegu. Opary żółtej mgły unoszą się znad białej rzeki pod bładniebieskie niebo. Jak okiem sięgnąć nie widać żadnego przechodnia, jedynie jakąś postać w dole, na środku lodoowego traktu. Ten ktoś, dostrzegłszy idącego, pozdrawia go, machając ręką i coś krzyczy, wesołym tonem. Vance nie zatrzymuje się, ale również macha z animuszem. Potem postać, nie wiadomo, czy mężczyzna, czy też kobieta, pada na kolana i wykonuje gesty całkowicie niezrozumiałe dla raźnie maszerującego Vance'a. Nagle tamten człowiek zsuwa się z białej powierzchni lodu do ciemnej dziury.

Vance staje jak wryty.

Dziewczęta zrównują się z nim, zdyszane.

VANCE Czy to jakiś rytuał? Ktoś znikł, o tam...

NADIA Kiedy?!

SASZA Boże...

Zegna się szerokim prawosławnym krzyżem, jak przedtem tamten człowiek. Vance z przerażeniem odkrywa podobieństwo gestów.

VANCE No, przed chwilą...

SASZA Ktoś popełnił samobójstwo, Vance... Odszedł.

VANCE Niemożliwe, wołał coś do mnie wesołym głosem, wesołym, słyszałem... Ale nie mógł wpaść przez pomyłkę... Wyglądało, jakby schodził do jakiejś piwnicy... Trudno mi uwierzyć, że tam jest woda...

Młodsza siostra zatrzymuje się i zaczyna mówić po rosyjsku.

NADIA Ja z tym dumiem iść nie będę.

SASZA A co on miał zrobić? Skoczyć razem z nim? Albo może zatrzymać go? Czy ty to sobie wyobrażasz? A ty byś go zatrzymała? Życie, szanowny panie, jest piękne.

NADIA Nie... Ale żeby chociaż zrozumiał... i uszanował... Majestat śmierci...

SASZA Wiesz dobrze, że tu nie ma już żadnego majestatu... Zachowuj się dobrze, to wystarczy zamiast majestatu.

VANCE Przepraszam. Ja już pójdę sam... Nie wiedziałem...

SASZA Ostatnio to się często u nas zdarza.

VANCE Ale dlaczego tak?

NADIA A jak inaczej? Sznurka nie ma, lekarstw nie ma, broń palna zakazana. Na dach trudno wejść, bo dozorca pilnuje. W dodatku rodzina zaoszczędziła na kosztach pogrzebu. Najbardziej humanitarny sposób.

VANCE Może, gdyby nie wołał do mnie tak wesoło... Nie zrozumiałem dobrze, ale to był wesoły okrzyk, bez wątplenia.

NADIA Widocznie żegnać się z takim życiem to była dla niego sama radość, szanowny panie.

SASZA Przestań już. Ciekawa jestem, co ty zrobiłabyś na jego miejscu. Przyznaj się po prostu, że denerwuje cię samo jego istnienie. A on nie jest winien, że żyje w normalnym świecie.

Siostry nie przechodzą raz jeszcze na angielski. W trójkę idą dalej już po nabrzeżu, nie zamieniając ani słowa.

59.

Pokój hotelowy oświetla jeszcze słoneczne światło. Burzujka buzuje ogniem. Na łóżku leży spleciony kłęb koców.

Vance, wyspany, ogolony i przebrany, siedzi przy stoliku z nastawionym samowarem i parzy sobie usta herbatą. Tymczasem więc wyjmuję z kieszeni spodni zmię-

toszony skrawek papieru, na którym nie ma hieroglifów, tylko adres i pięciocyfrowy numer. Wpatruje się w karteczkę dostatecznie długi moment tak, że nie ma wątpliwości, iż mógł nauczyć się już wszystkiego na pamięć, kiedy zwija paperek w małą kulkę i rzuca do pieca. Próbuje znów upić tyk herbaty, myślami błądząc gdzieś daleko.

Z zamyślenia wyrывa go pukanie. Idzie do drzwi, żeby otworzyć i nie potrafi ukryć zdumienia, kiedy na progu widzi profesora, ściskającego pod pachą mały bochenek chleba.

PROFESOR Chciałbym z tobą porozmawiać, Vance.

VANCE Ależ oczywiście. Może napije się pan ze mną?

PROFESOR Wolałbym gdzieś pójść. Czy mógłbyś przespacerować się kawałek? Jest mroźno, ale ładnie. Jeśli ci to nie przeszkadza. Ale skończ swoją herbatę. Rozepnę sobie płaszcz.

VANCE Dobrze, tylko chwilę...

Kiedy pije w pośpiechu, a potem szybko się ubiera, profesor bawi go rozmową.

PROFESOR To chleb ekstra. Wiesz, skąd to mam, Vance? Miałem wykład o Manifestie komunistycznym w tak zwanym klubie Lenina. Dla robotników, którzy chcą się teraz uczyć wszystkiego. Za to jest dodatkowy przydział. Spory. Jesienią moja żona skopała cały ogród za trzy czwarte bochenka chleba. Nie śpiesz się tak, Vance. Pij spokojnie. Dostałem jeszcze cukierki. Poczłostowałem portiera. Wiesz, że przedtem był współwłaścicielem tego hotelu?

VANCE Tak? Spodziewałem się czegoś podobnego. Zaraz możemy iść.

PROFESOR Poczłostuj się cukierkiem.

VANCE Nie, dziękuję.

PROFESOR Weź, proszę. Robisz mi przecież przykrość swoją odmową.

VANCE Przepraszam.

Bierze cukierek z szarobrazowej torebki.

60.

Przed frontowymi drzwiami hotelu natykają się na Morrisa. Vance obraca w ustach darowanego karmelka.

MORRIS Wychodzisz? Pamiętaj: obiecałeś pójść ze mną.

PROFESOR Za pół godzinki wróci. Trzeba dotrzymywać obietnic, Vance.

61.

Idą powoli wzdłuż kanału z unieruchomionymi przez lód barkami.

PROFESOR Jak ci się tu podoba, Vance?

VANCE Jak mi się tutaj podoba? Nie wiem. Petersburg jest podobno tak piękny, a ja jeszcze nie miałem czasu, żeby się o tym przekonać.

PROFESOR A poza tym?

VANCE Ja nie mam żadnych poglądów politycznych. Tylko estetyczne. A poza tym, odkąd przyjechałem, może nawet trochę wcześniej, już w podróży, czuję się, jakby nic ode mnie nie zależało. Ciągłe za kimś chodzę, ktoś mnie prowadzi.

PROFESOR Mylisz się, Vance. Bardzo wiele od ciebie zależy.

Idą chwilę w milczeniu. Vance zdaje się kontemplować słowa Winogradowa i dlatego tym bardziej zaskakuje go konkretne dopowiedzenie.

PROFESOR Ożeń się z moją córką.

VANCE Przepraszam?

PROFESOR Po prostu. Ożeń się z moją córką. Proszę cię.

VANCE Z którą?!

PROFESOR Z którą chcesz. Niestety, nie możesz ożenić się z obiema.

VANCE Nie chcę pana urazić, ale ja w ogóle nie myślę o małżeństwie.

PROFESOR Vance, ja chcę tylko, żeby miała dach nad głową i kawałek chleba na początek, zanim sama zacznie sobie dawać radę. Nic więcej. Ja wiem, Vance, jaki to szok dla ciebie, podobna propozycja, może nawet nieprzyjemność, niestety, nie widzę innej drogi, żeby uratować chociaż jedno swoje dziecko. Jestem pewien, że mój syn, Sasza – gdyby żył, a już straciłem nadzieję – prosiłby cię razem ze mną. Jestem prawnikiem, Vance. Zawsze liczyłem się z rzeczywistością.

VANCE A więc sądzi pan, że Sasza...

PROFESOR Delikatny jesteś, Vance... i dyskretny... Dotąd nie spytałeś o niego... Jego matka ma jeszcze nadzieję. Ja – nie. Ale ona będzie ją miała do końca... mam nadzieję.

VANCE Może jest za granicą?

PROFESOR Dałby jakoś znać. Kiedy zobaczyłem cię na schodach, pomyślałem w pierwszej chwili... że on cię do nas przysłał. Może zresztą tak jest w istocie, kto wie... Sasza zachowywał się często jak szaleniec, ale jestem pewny, że w końcu ustakowałby się, Vance.

Na budynku po drugiej stronie ulicy rozlepiony rząd proklamacji, krzyczących dużymi literami: UWOLNIC UWIEZIONYCH SOCJALISTÓW I BEZPARTYJNYCH! WOLNOŚĆ SŁOWA, PRASY I ZGROMADZEN! WOLNE WYBORY! Profesor omija je wzrokiem.

VANCE Czy myślał pan o wyjeździe? Przecież chyba można wyjechać z rodziną, sądząc po wielu Rosjanach, którzy znaleźli się za granicą.

PROFESOR Paszport można teraz załatwić tylko przez Politbiuro, no, przez Biuro Polityczne. Mnie go nie dadzą, Vance. Ale nawet gdyby nam pozwolono wyjechać, Vance, z czego mielibyśmy żyć. Straciliśmy niemal cały majątek podczas rewolucji. Całe życie byłem prawnikiem. Jaką karierę mógłbym zrobić w moim wieku, w obcym kraju? Vance, jesteś moim jedynym ratunkiem. Czekałem na taką okazję przeszło trzy lata. Nie myśl, że nawet jeśli małżonek jest cudzoziemcem, tak łatwo wyjechać. Ale to leży jeszcze w granicach możliwości.

Vance nie mówi nic, skrępowany.

PROFESOR Vance, czy muszę ci tłumaczyć, dlaczego chcę ocalić jedno moje dziecko? Nasz świat już nie istnieje. To piękne miasto jest już widmem historii. A my już się potopiliśmy. Poznajemy to po tym, że nie mamy czym oddychać. Żyjemy jak pod lodem. Już nie ludzie, ale jakieś amfibia. Ktoś może zresztą bawić się nad nami.

W dole, na kanale, dzieci ślizgają się na łyżwach i bez łyżew. Pod następnym mostem widać małe zbiegowisko dorosłych. Vance, pełen niedobrych skojarzeń, odwraca się od zamrożonego kanału, prowokując Winogradowa do przejścia na drugą stronę.

PROFESOR Człowiek jest tym, na co patrzy. Zgodzisz się ze mną, Vance?

Vance nie odpowiada. Obydwaj śledzą wzrokiem jakąś ludzką postać, która sunie z trudem po wyboistym śniegu jezdni, uginając się pod ciężarem nieforemnego, ogromnego pakunku.

PROFESOR Takie będzie nasze życie. Więc jaka będzie twoja odpowiedź, Vance? Wiem, że nie mogę nalegać, ale muszę cię prosić... Proszę cię z całego serca.

VANCE Nigdy o tym nie myślałem, mówiłem panu.

PROFESOR Rozumiem, Vance. Jesteś zaskoczony. Mam nadzieję, że to nie jest twoje ostatnie słowo.

VANCE Nie chciałbym panu dawać fałszywej nadziei.

PROFESOR Zastanów się, Vance, proszę. I jakkolwiek byłaby twoja decyzja, przyjdź jeszcze odwiedzić nas przed wyjazdem.

Całuje go serdecznie na pożegnanie.

PROFESOR Zjawileś się tak niespodziewanie... Kiedy na ciebie patrzę, widzę obok ciebie Saszę...

Odwraca się, by ukryć ból.

Vance, zawracając do hotelu, znowu musi zobaczyć ludzi pod mostem, rozprawiających o czymś zażarcie.

62.

Duża fabryczna hala wypełniona wiecującym tłumem, przeważnie robotników w grubych ubraniach. Między nimi Vance i Morris, ulokowani trochę z boku, choć blisko podium ze skrzynek, z którego właśnie przemawia ktoś młody i odważny.

MÓWCA I Jak żyją robotnicy? Co dała im partia? Po trzech i pół roku sprawowania władzy? Praca nie jest radością, lecz niewolnictwem!

Zmęczone twarze i pomruk przechodzący przez halę potwierdzają jego słowa.

MÓWCA I Jak za czasów carskiej pańszczyzny zostaliśmy przypisani do stanowisk pracy. Jeśli robotnik chce upomnieć się o własną godność, zalicza się go od razu w poczet kontrewolucjonistów, szpiegów Ententy, nie wiadomo kogo.

Szmer ogólnej aprobaty. Cichsze i głośniejsze potakiwania.

MÓWCA I Na początku nie wiedzieliśmy o okrucieństwach Czerezwyczajki. Egzekucjach, więzieniach i obozach koncentracyjnych. Teraz już wszyscy wiemy. Zdędyrowane oklaski tłumy. Morris pochłania każde słowo.

MÓWCA I Precz z absolutną władzą komisarzy ludowych! Władza w ręce robotników!

Sala z aplauzem podejmuje hasła, kiedy chłopak schodzi z podium.

VANCE Co on powiedział?

MORRIS Ci....

Następny mówca krzyczy wprost z tłumy, stanawszy na warsztacie.

MÓWCA II Gazety kłamią. Wszystko, sprawiedliwość, dobrobyt, lepsza przyszłość jest tylko na papierze. Chcemy prawdy! Wolności słowa!

Okrzyki potwierdzenia. Czyje pojedyncze zawołanie: „Niezależne gazety!”

MÓWCA II Ale przede wszystkim chcemy wolnych wyborów! Nie jesteśmy przeciwko bolszewikom, jeśli wejdą do sowietów po wolnych wyborach!

Szydercze pojedyncze śmiechy wybuchają w kilku punktach zapalnych. „Jak w listopadzie w osiemnastym roku!” – krzyczy ktoś. Tłum, jak jeden mąż, wyraża swoją aprobatę. Młody człowiek, który chce zabrać głos, wspina się na podwyższenie ze skrzynek.

MÓWCA III Chcę coś opowiedzieć. Mój rodzony brat służy na liniowcu „Sewastopol” w Kronsztadzie. Cenzurują jego listy. Zabierają mu listy od matki, która na wsi nie ma co jeść. Matka przeklina go za to, że broni szajki zbrodniarzy. Zaprosimy towarzyszy z Kronsztadu! Niech czerwona flota wie, co dzieje się w robotniczym Piotrogradzie! Niech broni robotników!

Aplauz, tak długi, że mówcy zdołają się zmienić na chybliwym podium. Następny przemawia z nie mniejszym od poprzedników entuzjazmem.

MÓWCA IV Towarzysze! Przede wszystkim potrzebny nam jest spokój. Musimy zachować spokój. Spokój i czujność. Szpiegzy Ententy, agenci światowego imperializmu, ciągle pracują. Ja właśnie przyjechałem z Kronsztadu, z okrętu liniowego „Pietropawłowsk”. Ręczę wam, że bohaterska czerwona flota będzie bronić zdobyczy rewolucji. Nie możemy dopuścić do kontrewolucji. Kontrewolucję utopimy we krwi.

Sala nie zdąży zareagować, bo inny młody robotnik usuwa Czwartemu skrzynię spod nóg, a potem zręcznie sam wskakuje wyżej.

MÓWCA V Znam tego marynarza z Kronsztadu! Pływał łódką po Newie. Teraz mogę podać adres, gdzie pracuje i gdzie dostaje za swoje kłamstwa kartki żywnościowe pierwszej kategorii, podczas gdy wszystkie nasze rodziny głodują. Gorochowa 2! Niech opuści zebranie! Niech zebranie opuszczą wszyscy członkowie Czerezwyczajnoej Komissii! Natychmiast! Zanim uchwalimy rezolucję!

Oklaskom towarzyszy groźny pomruk niezadowolenia i aplauz zamienia się w demonstrację siły. Prawie wszyscy krzyczą. Entuzjazm narasta w hali razem ze złością.

Tymczasem przez tłum do wyjścia przeciska się tylko Vance. Morris żegna go wściekłym spojrzeniem, lecz jego uwagę przykuwa rzeczowe oświadczenie inteligentnego, zrównoważonego mężczyzny w sile wieku.

MÓWCA VI Jako członek Czerezwyczajnoej Komissii przypominam wszystkim, że mamy prawo uczestniczyć w podobnych zebraniach...

Vance znika w wejściowych drzwiach fabrycznej hali.

63.

Wokół znanej już latarni, w zatoczce światła podskakuje z zimna opatulona dziewczynka, co najwyżej dwunastoletnia. Ku zdumieniu Vance’a zagaduje go pierwsza.

DZIEWCZYNIKA Monsieur Devries?

VANCE Nie. Ale znam go dobrze, bo właśnie pracuję u monsieur Devries.

DZIEWCZYNIKA W Paryżu?

VANCE Tak, w Paryżu.

DZIEWCZYNIKA To dlaczego ma pan taki dziwny akcent?

VANCE Bo jestem Anglikiem.

Dziecko od razu przechodzi na angielski.

DZIEWCZYNIKA Proszę spojrzeć na ten budynek. Proszę okrążyć go z prawej strony. Boczne drzwi są otwarte. Proszę wejść tak, żeby nikt pana nie zobaczył, nie palić żadnego światła i pójść od razu na piętro. Adieu.

Vance patrzy zaskoczony. Dziewczynka macha mu na pożegnanie, potem biegnie gdzieś w ciemność, a on idzie w stronę banku, stosując się do instrukcji.

64.

Z ciemnego przedsionka Vance zanurza się w mroki przestronnego westybulu. Przez jedno z okien, niezbyt szczelnie zasłonięte, spływa poświata księżycy. Reprezentacyjne schody z rzeźbioną poręczą ocalały. Vance stąpa po szeleszczących papierach, zaściewających cały parter, piosząc szczury, które uciekają mu spod nóg.

65.

Na podeście pierwszego piętra jest nieco jaśniej. Vance wchodzi teraz do długiej sali, z której wyrwano drzwi. Tu także podłoga jest biała od grubej warstwy papierów, lecz szczury są mniej płochliwe. Na ścianie szereg portretów, naderwane i rozdarte płótna w ramach. Nagle przed nim pojawia się postać, osłaniająca dłonią płomień świecy. Vance zmierza wprost ku niej.

66.

Gospodarz prowadzący Vance’a wchodzi do jakiegoś pomieszczenia, zapalając światło i natychmiast zamykając drzwi. Zdmuchuje niepotrzebną świecę. Silna żarówka oświetla zrujnowaną łazienkę o wyłożonych białymi kafelkami ścianach, w

których zostały wielkie blizny tynku po wyrwanej umywalce i piecyku. Zniknęły też wszelkie rury i krany. Masywna wanna nie opuściła swego miejsca, choć przewrócono ją do góry nogami.

BANKIER Tu nikt nie zobaczy światła. Możemy spokojnie rozmawiać.

Siada możliwie wygodnie na wannie i gestem zaprasza Vance'a, by usiadł również.

BANKIER Kim pan właściwie jest?

VANCE Nie uchybiając w niczym pańskiej pozycji wśród miłośników sztuki, nie łudził się pan chyba, że właściciel słynnej galerii, człowiek w podeszłym wieku, jak wiadomo, przybędzie tu osobiście? Pracuję dla niego od półtora roku.

BANKIER Ma pan pełnomocnictwa?

VANCE Wszelkie. Ale nie przy sobie. Mogę za to pokazać kopertę listu, który pan napisał. Proszę.

BANKIER Bardzo długo czekałem na pański przyjazd.

VANCE Wyruszyłem w podróż dwa dni po tym, jak monsieur Devries otrzymał ten list. Proszę sprawdzić stemple. Szedł trzy miesiące. Przez Irlandię.

BANKIER Na szczęście przewidziałem to. Dlatego też wyznaczyłem dość rozciągliwy termin...

VANCE Ostatni piątek, sobota i niedziela każdego miesiąca.

BANKIER Właśnie. Zresztą przyznam się, że wysłałem listy także gdzie indziej. Nie wiem, czy doszły, ale pan zjawił się pierwszy. Wnioskuje, że jesteście zainteresowani transakcją.

VANCE Owszem.

BANKIER A skąd pan wie, że ja to ja? Mogę przecież być podstawioną osobą?

VANCE Akurat tego jestem pewny. Widziałem pańską fotografię, panie Nienazwanow. Na tle kolekcji oczywiście. Niewiele pan się zmienił...

BANKIER Raczy pan żartować... Ale przejdźmy do rzeczy. Moja oferta wygląda tak. Proszę łaskawie obejrzeć. Tu mam spis, a tu fotografie.

Vance zagląda do kilkustronicowej listy i zaraz pochyliła się nad albumem, który Nienazwanow wydobył skądś zza wanny. Czarno-białe krzaki Van Gogha, czarno-białe Tahitanki Gauguina, czarno-białe martwe natury Cezanne'a, czarno-białe ogrody Moneta.

VANCE Myślę, że uda nam się uzgodnić cenę. Męczy mnie jednak problem wywozu. Nie chciałbym łamać prawa. Nie lubię tego robić. Jestem tu obcy. Byłoby to dla mnie niebezpieczne. Mam nadzieję, że będzie mógł pan mi w tym pomóc, inaczej, zdaje sobie pan sprawę, cała nasza transakcja stoi pod znakiem zapytania.

BANKIER Już się nad tym zastanawiałem. Widzę jedną szansę na rozwiązanie tego problemu. Będę coś wiedział pojutrze rano.

Vance nie odrywa wzroku od albumu.

67.

Zamyślony Vance idzie przez hotelowy korytarz, ale nie zdąży otworzyć swojego pokoju. Znienacka dopada go Morris, który najwyraźniej na niego czekał, rozgorączkowany.

MORRIS Jak mogłeś wtedy wyjść?

VANCE Niestety, miałem bardzo ważną sprawę. A co się działo?

MORRIS Uchwalili rezolucję solidaryzującą się z robotnikami strajkujących fabryk i...

VANCE Nie rozmawiajmy na korytarzu. Czy można tu coś zjeść?

MORRIS Też jestem głodny. Spróbujmy w restauracji.

Obaj zawracają ku schodom.

68.

Upiornie pusta, słabo oświetlona restauracja w hotelu, secesyjne wnętrza, ogołoczone i pozbawione całego uroku. Rzędy nagich stolików. Kiedy Vance i Morris siadają przy którymś gdzieś w środku sali, zjawia się zziębnięty kelner, przepasany fartuchem, rozściela serwetę i znika.

MORRIS Gdzie ten twój marynarz?

VANCE Na razie nie mam wiadomości.

MORRIS Nie wiesz, co się dzieje? Jesteśmy w samym środku rewolucji. Jak w oku cyklonu.

VANCE Jak widzisz, w oku cyklonu jest zawsze najspokojniej.

MORRIS Pójdiesz ze mną jutro na wiec?

VANCE Kiedy?

MORRIS Przed południem.

VANCE Czy to bezpieczne?

MORRIS Najzupełniej.

VANCE Dobrze więc. Nie boję się, ale mam do załatwienia jeszcze kilka spraw. Nie chciałbym być deportowany albo coś w tym rodzaju.

MORRIS Przecież ja też nie.

VANCE Właśnie ktoś mnie przed tym ostrzegał.

MORRIS Chyba się trochę przeziębilem. Napijmy się czegoś gorącego.

VANCE Na to chyba możemy liczyć. Czy widzisz już swoją książkę?

MORRIS Właściwie zacząłem pisać. Wierny opis wypadków. Żadnego komentarza. Chociaż wiesz, to jak szekspirowski dramat. Trzydziesta siódma sztuka. Kronika historyczna. Niestety, nie jestem Szekspirem.

Nadchodzi zmarznięty kelner.

VANCE Proszę, zamów dla mnie paczkę papierosów. Może nawet trzy.

MORRIS Przestajesz palić tę cholerną fajkę?

VANCE Na to nie licz. Pomaga mi zachowywać cholemy dystans. A papierosy przydadzą mi się jako napiwek.

Morris spełnia jego życzenie i prosi kelnera o coś ciepłego do zjedzenia.

KELNER Kartofle. Do tego płotki kaspijskie. Może być? Wódka?

Po małym namyśle zgadzają się, nie mając wyboru – na wódkę.

VANCE Potem – czaj.

Kelner kiwa głową i odchodzi.

VANCE A o co chodzi w tym twoim dramacie historycznym? O władzę?

MORRIS Nie, o godność człowieka. I o sprawiedliwość.

VANCE Grasz w nim jakąś rolę?

MORRIS Błazna oczywiście. Taką samą jak ty.

VANCE Wybacz, ale ja tylko jestem widzem. I mniej więcej wiedziałem, na jaką sztukę kupiłem bilet. Chociaż nie miałem pojęcia, że bufet będzie aż tak źle zaopatrzony.

Patrzą na talerze, które przed nimi stawia kelner. Vance wskazuje nędzne płotki.

VANCE Widziałem, jak wczoraj ludzie to jedli. A poza tym do jedzenia był łabędź.

Bawi go zdumione spojrzenie Morrisa.

69.

W swoim pokoju Vance wydobywa z bagaży jakieś zapasy, ale najwyraźniej zaspokoili albo stracił apetyt. Gasi górne światło, zostawia zapalone kinkiety. Ustawia pudełko w martwą naturę z cytryną, oświetla ją z różnych stron za pomocą zapalek,

coraz bardziej usatysfakcjonowany efektami. Potem uzupełnia kompozycję o porcelanową figurkę marynarza.

Rozlega się dzwonek telefonu.

Zaskoczony podchodzi do aparatu.

VANCE Tak, to ja... Dobrze, przyjdę. Więc do jutra.

Wraca do martwej natury, cytrynę zamienia na pomarańczę, przestawia marynaryka. Z fajką siada na łóżku, by kontemplować własne dzieło.

28 lutego 1921

70.

Poważne prezydium, mężczyźni i kobiety, za długim stołem, okrytym zielonym suknem, z boku trybuna dla mówców, przy mniejszym stoliku stenografistki – to wszystko na scenie teatru. Balkon i galeria są niemal puste, parter, gdzie może zmieścić się kilkaset osób, wypełniony jest w jednej trzeciej. Młodzi uczestnicy wiecu, którzy nie wyglądają na miłośników Melpomeny, siedzą z nabożeństwem w wyściełanych fotelach.

Vance i Morris zajęli miejsca trochę z tyłu, w pewnej odległości od innych uczestników. Vance nudzi się śmiertelnie. Morris stracił entuzjazm i dobry humor, wyraźnie zafrasowany.

Ktoś na mównicy zawiadamia gromkim głosem o dodatkowych przydziałach mąki i cukru.

Spontaniczny aplauz audytorium.

Ktoś inny zabiera głos, deklarując: „Popieram przedmówcę”, a potem tylko rzucając hasła, oklaskiwane przez zebranych: „Przodujący robotnicy nie odejdą od swych warsztatów!”, „Młodzieży! Do pracy! Musicie pomóc!”, „Chrońmy nasze fabryki przed sabotażem imperialistów!”

MORRIS To na pewno nie jest koniec.

VANCE Chcesz jeszcze zostać? Mam spotkanie.

MORRIS Nie... Chodźmy już.

71.

Zbiegają po schodach do teatralnego foyer, mijając przybrudzone, ogromne lustro z długą rysą.

VANCE Wracasz do hotelu?

MORRIS Tak. Nie wiem dlaczego, ale czuję się zmęczony.

VANCE Odpocznij trochę. Będziesz pisał?

MORRIS Spróbuję.

VANCE Czy nie tracisz nadziei?

MORRIS Nie, nigdy.

U wyjścia kręcą się grupki młodych ludzi. Nie umawiając się, Vance i Morris milczą, przechodząc obok, pod ostrzałem podejrzliwych spojrzeń.

Razem otwierają dwuskrzydłowe drzwi na światło dzienne ulicy.

MORRIS Kiedy skończy się ten mróz...

72.

W zaśnieżonym pustym parku, Letnim Ogrodzie, Vance, z nosem schowanym w szalik, kręci się dookoła postumentu z kamienną urną.

Zamarzły ptak spada jak kamień z nagiego drzewa.

W nierzeczywistej ciszy dziewczyna biegnie białą alejką.

SASZA Długo pan czekał? Staralam się nie spóźnić.

VANCE Nie, niedługo. Przedtem wstąpiłem na ciastka i herbatę do „Warszawianki”.

Sasza śmieje się bez złośliwości z fonetycznych mąk, jakie przechodzi Vance.

SASZA Już zna pan Piter. Bardzo pan zmarł?

VANCE Trochę. Nie widziałem jeszcze takiego mrozu. Nawet posagom jest zimno.

Wskazuje osłony z desek, szczelnie zakrywające rzeźby.

SASZA Co roku ubiera się je na zimę... Przede wszystkim mam dla pana wiadomość od Stiopy. Jest teraz na swoim okręcie, ale przekazał nam przez okazję, że jeśli ktoś chce jechać do Kronsztadu, jutro rano będą czekać sanie na Newie. Pod mostem na Wyspie Wasiliewskiej. Tym mostem, przez który szliśmy w niedzielę rano...

VANCE Aha. Pod mostem na Wyspie Wasiliewskiej. Dobrze.

SASZA Pan chce jechać do Kronsztadu?

VANCE Nie miałem tego w planie. Proszę przekazać, że odebrałem wiadomość.

SASZA Jeżeli będzie sposobność. Mam też drugą sprawę, ale chodźmy już stąd.

Muszę iść do pracy. Po drodze porozmawiamy, dobrze?

VANCE Jak pani sobie życzy.

Próbuje dyskretnie osłaniać usta szalikiem.

73.

Idą przez zaniezione śniegiem Pole Marsowe, zbliżając się do rzędu kamienic.

SASZA Wiem, że spotkał się pan wczoraj z ojcem i wiem, czego chciał, chociaż ze mną o tym nie mówił. I chcę panu powiedzieć, że to wyłącznie jego własna inicjatywa. Nawet gdyby pan się zgodził, nie pojechałabym z panem, o mojej siostrze, która z natury jest taka... nieprzejednana, nie wspominając. Zresztą ona wie o naszej rozmowie. Nie musi czuć się pan do czegokolwiek zobowiązany. Właściwie tylko to chciałam panu powiedzieć.

VANCE Dlaczego pani nie chce wyjechać?

SASZA Niezależnie od tego, że pomysł ojca jest dla nas wszystkich odrobinę upokarzający, ja nie zostawiłabym rodziców, Vance. Obydwoje są załamani.

Z daleka widzą wijący się ludzki wąż. Sasza uprzedza pytanie.

SASZA To kolejka po chleb przydziałowy.

VANCE Ale przecież... pani ojciec byłby szczęśliwy, gdyby pani... albo pani siostra...

SASZA Myślałam o tym, oczywiście. Z pewnością miałby poczucie spełnionego obowiązku. Ale kimże ja jestem, że zasługuję na lepszy los? Lepsze życie od tych wszystkich nędzarzy? Dlaczego ja? W końcu opuszczać ludzi w nieszczęściu to niemoralne.

VANCE Przecież nic nie wyniknie z tego. Pani im nie ulży w niczym.

SASZA Często myślę, że nic nie wynika z niczego. Niemniej jednak nie mam zamiaru wyjeżdżać. Może przynajmniej panu oszczędzę poczucia winy...

VANCE Jest pani bardzo podobna do brata.

SASZA Być może, ale to nie ma znaczenia.

VANCE Co się z nim właściwie stało?

SASZA Nie wiadomo. Po prostu znikł, gdzieś w Rosji.

VANCE Jak to?

SASZA Musiał służyć czerwonemu. Bardzo chciał się przedrzeć do białych. Pewnie mu się nie udało. Wiele miesięcy nie ma od niego żadnych wiadomości. Rodzice strasznie to przeżywają.

VANCE Tak, wiem. Widziałem. Ale przecież można było uciec przez Krym... A niedawno natrafiłem w gazecie na wiadomość, że niektórzy przedarli się do Mandżurii...

SASZA Chce pan w to wierzyć, Vance, to niech pan wierzy. Ale ja lubię widzieć rzeczy jasno.

74.

Idą opustoszałymi zaułkami, bez śladów życia. Mijają zamknięte sklepy. Odłupana farba, witryny pęknięte, wybite i zabite deskami. Za brudnym szkłem wystawowym jednego z nich widać ruch.

VANCE Możemy tu wejść?

SASZA Jeśli pan chce.

75.

W otwartym sklepie na zakurzonych półkach leżą zakurzone talerze, resztki towaru – porcelany.

VANCE Trudno to sobie wyobrazić, ale przypadkiem mam jeszcze figurkę z Biarritz, którą kiedyś kupił mi Sasza na spacerze. Da pani wiarę?

SASZA Nie pamiętam.

VANCE Taki mały porcelanowy marynarzyk. Chciałbym kupić coś teraz dla pani.

SASZA Dziękuję, naprawdę niczego nie potrzebuję. Jak pan widzi, Vance, tu nie ma suvenirów w tym rodzaju.

Vance czuje nieprzyjemne spojrzenie sprzedawczyni.

Bez słów zgadza się z Saszą, że najlepiej szybko stąd wyjść.

76.

Idą dalej ulicą. Od sklepu biegnie za nimi chłopiec, jeszcze dziecko.

CHŁOPIEC Czego szukacie? Chcecie coś kupić? Wszystko załatwię!

Sasza odmownie kręci głową, ale Vance pochyla się nad nim skandując jak najwyraźniej rosyjskie sylaby.

VANCE Ja chcę Rembrandt. Rembrandt, dobrze?

CHŁOPIEC Dobrze! Ale czekajcie tutaj!

VANCE Myśli pani, że ten zadatek wystarczy?

Sciskając w pięści banknot, który dostał od Vance'a, mały odwraca się i biegnie dokądś jak szalony. Oboje śmieją się z jego determinacji.

SASZA Już niedaleko. Chcę pana prosić, żeby pan mimo wszystko przed wyjazdem zobaczył się z ojcem. Będzie ogromnie przybity, jeśli pan nie pożegna się z nim. Proszę z nim porozmawiać, pogawędzić, powspominać. To wystarczy. Ale niech pan nie krępuje się odmówić mu w wiadomej sprawie.

VANCE Dobrze. Chyba będę mógł. Przyjdę.

SASZA Ja lubię pana, Vance. Było mi bardzo przyjemnie teraz spotykać się z panem. Przybyszem z normalnego świata. Którego nie zobaczę.

VANCE Proszę tak nie mówić...

Dziewczyna uśmiecha się z lekką ironią.

SASZA Obawiam się, że muszę już się śpieszyć.

VANCE Dlaczego właściwie zaczęła pani studiować chiński?

SASZA Kiedyś, kiedy byłam jeszcze bardzo dziecinna, zaraz na początku po zamachu bolszewickim, namawiałam ojca, żebyśmy uciekali do Mandżurii.

VANCE Do Mandżurii? Akurat tam?

SASZA Tak. Jak pan widzi, mało jest miejsc, dokąd można uciekać. Do widzenia. Nie zabłądzi pan? Radzę przejść kawałek Newskim, a potem skręcić za kanałem i będzie pan już w hotelu.

Vance patrzy, jak ona biegnie pędem wzdłuż kanału, żeby uciec przed zimnem. Idzie w tym samym kierunku, aż do mostu na Newskim.

Na rogu ludzie skupili się wokół okrągłego słupa z obwieszczeniami. Duże krzyżące litery „Strzeżcie się szpiegów”, „Śmierć szpiegom”.

Vance naraz odkrywa wokół wrogie spojrzenia przechodniów, ale nie traci kontensu, swobodnie poprawia swój szalik.

77.

W hotelowym korytarzu Vance puka do drzwi Morrisa i wchodzi, za jego przykładem nie czekając na przyzwolenie.

78.

Morris, siedząc przy biurku, skoncentrowany i jednocześnie rozgorączkowany, stawia szybko stenograficzne znaki w grubym zeszycie. Nie wstaje na widok gościa.

VANCE Przepraszam, że ci przeszkadzam. Mam dla ciebie wiadomość. Jutro rano jakieś sanie jadą do Kronsztadu. Trzeba przyjść pod most na Wyspie Wasiliewskiej. Pierwszy, licząc od strony miasta.

MORRIS Aha. Bardzo ci dziękuję.

VANCE Pojedziesz?

MORRIS Jeśli tutaj nie będzie się działo nic ciekawszego. Dzięki.

VANCE Nie ma za co. Wiesz...

Morris nie odpowiada, zatopiony w pracy.

VANCE Chyba się ożenię.

MORRIS Aha...

Najwyraźniej nie dociera do niego ta wieść. Vance'a bawi trochę jego roztargnienie.

VANCE Powodzenia. Na razie.

MORRIS Bywaj.

Wraca do pracy, nie czekając, aż Vance zamknie drzwi.

79.

Vance wchodzi do swojego pokoju, który ku jego lekkiemu zaskoczeniu jest otwarty i oświetlony. W piecu się pali. Portier pochylony nad koszem do śmieci sprawia wrażenie, jakby sprzątał, ale jego zażenowanie zdradza, że właściwie czegoś szukał.

PORTIER Czy nie przeszkadza panu, że sobie to wezmę? Pan to wyrzucił...

VANCE Ależ skąd...

PORTIER Przepraszam. Niezręczna sytuacja... Ale zapewniam pana, że to mi wystarczy, to jeszcze dobra zyletka... A zresztą, jeśli ja tego nie wezmę, wygrzebie to ze śmieci ktoś inny.

VANCE Mogę panu dać dwie nowe. Niestety, mam niewielki zapas, a nie znośszę golić się brzytwą. Ja też bardzo źle się czuję, kiedy jestem nie ogolony... Proszę.

PORTIER Dziękuję.

VANCE Potrzebuję Daniły.

PORTIER Nocuje na dole, w kotłowni. Pokażę panu. Trzeba zejść schodami dla służby, w końcu korytarza.

VANCE Będę bardzo zobowiązany.

80.

W obszernej piwnicy, obok słabo tłącego się centralnego pieca, urządzono wielkie legowisko. Inwalida leży, nie śpiąc, pod kilkoma warstwami jakichś starych kołder i na widok gościa wygrzebuje się ospale z barłogu. Vance stwierdza zniechęcony, że Daniła jest pijany, ale zaczyna mu tłumaczyć sprawę, pomagając sobie gestami i zegarkiem, który wyjmuje z kieszonki.

VANCE Iść do profesora. Do profesora. Do Winogradowa. Powiedzieć tylko „tak”, „da”, „jawohl”. Nie, nie, ty nie mówić nic. Tylko ja przyjść tam, do Winogradowa, jutro. Rano. Godzina dziesiąta. Verstehen Sie?

DANIŁA Ja. Gut. Dobrze, pójdę zaraz. Później – zabronione. Sytuacja wojenna.

Odpowiada nadspodziewanie zbornie jak na swój stan, ale w spojrzeniu Vance'a widać sceptycyzm.

VANCE Tak, tak. Dzięki.

Daje mu paczkę papierosów, którą kupił w restauracji od kelnera.

VANCE Proszę.

Daniła czka w podziękowaniu.

VANCE Do widzenia.

DANIŁA Do widzenia.

Vance idzie po żelaznych schodkach do wyjścia, z ironicznym grymasem na ustach. Wzdycha z rezygnacją.

1 marca 1921

81.

Rano jest ciemno jak w środku nocy. Vance niepostrzeżenie wychodzi bocznym wyjściem z hotelu na pustą ulicę. Kuli się z zimna, ale zmusza się, żeby iść.

82.

Znowu idzie przez salę posiedzeń zarządu banku wśród melancholijnych szelestów bezwartościowych papierów.

W drzwiach łazienki znów czeka na niego właściciel kolekcji.

BANKIER Świetnie. Jak zwykle bardzo pan punktualny. Mam nadzieję, że dzisiaj uzgodnimy wszystko.

83.

Siedząc na wannie, zdążyli już omówić zasadnicze warunki.

BANKIER Oczywiście, musi pan zostać tu jeszcze parę dni, ale to jest prostsze do zorganizowania niż pan przypuszcza. Przerzut przygotuję natychmiast. I rzecz jasna, musi pan pokryć jego koszty, ale to stosunkowo nieznaczająca kwota, więc proszę się nie targować.

VANCE Muszę jednak rzucić okiem na obrazy, zanim pan je wyśle.

Nienazwanow zastanawia się chwilę.

BANKIER Dobrze. To będzie trudne, ale da się zrobić. Proszę jednak pamiętać, że musi mieć pan zaufanego człowieka w Finlandii, który potwierdzi panu, że kolekcja dotarła tam bezpiecznie. Dopiero wtedy mi pan zapłaci.

VANCE Ale tylko część sumy. Reszta już za granicą. Proszę mi powiedzieć...

BANKIER Tak?

VANCE Czy można dostać się do Finlandii z Kronsztadu?

Zaskoczony Nienazwanow obrzuca go szybkim spojrzeniem.

BANKIER Oczywiście.

VANCE Aha... Przyznam się, że cała operacja wygląda bardzo ryzykownie.

BANKIER Widzi pan inną drogę? Właśnie. Poza tym ja ryzykuję więcej. Nie wiadomo, czy i kiedy wydostanę się stąd. Pan musi zaufać mnie, a ja panu.

VANCE Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia. Nie pojmuję tylko, dlaczego pan nie wyjedzie od razu.

BANKIER Ja mam rodzinę. I dla rodziny zrobię wszystko. Nie wyjadę, póki nie będziemy mogli wyjechać wszyscy, żona, dzieci, matka. Teraz to niemożliwe.

Jego twarz ściągnięta bolesną bezsilnością.

VANCE Rozumiem.

BANKIER Chciałbym panu jeszcze coś pokazać. Ciekaw jestem, co pan o tym powie. Oryginały, nie fotografie.

Wyciąga teczkę z rysunkami. Vance zaczyna je przeglądać na pozór obojętnie.

VANCE Chciałby pan to również sprzedać?

Bankier uśmiecha się.

BANKIER Coś w tym rodzaju. Ale interesuje mnie tym razem transakcja tylko z panem. Jest pan przecież koneserem.

VANCE Wybacz pan, ale nigdy nie zawieram żadnych kontraktów na własną rękę.

BANKIER Podziwiam pańską lojalność. Ale nikomu innemu tej kolekcji nie odstąpię. Tylko panu. Panu Devries nie zamierzam.

VANCE Jaka jest pańska cena?

BANKIER To, co pan ma na sobie.

VANCE Pan żartuje.

BANKIER Nie. Uważa pan, że wygórowana? Że te rzeczy nie są warte tych aktów Matisse'a? Jego szkiców martwych natur? To genialna kreska. I te dwa rysunki Van Gogha... i trzy Picassa...

VANCE W istocie, na rynku mogą być warte mniej. Zwłaszcza Van Gogh.

BANKIER Niż pana pelisa i buty. I pan też tak uważa?

VANCE Dlaczego pan przypuszcza, że mogę zgodzić się na taką wymianę?

BANKIER Widać to w pańskich oczach.

VANCE Doprawdy? Chyba jestem trochę przeziębiony.

BANKIER Ma pan przecież jeszcze jakieś ubranie w hotelu.

VANCE Mam, owszem. Ale nie mam drugiej pelisy.

BANKIER Nie wziął pan ciepłego pledu?

VANCE Wziąłem.

BANKIER W życiu trzeba improwizować. A droga do hotelu zajmie panu najwyżej dziesięć minut, jeśli pan będzie szedł dość szybko. Niech pan weźmie pod uwagę całe ryzyko i zastanowi się, czy warto.

VANCE Przecież buty nie będą na pana pasować.

BANKIER Niech się pan o to nie martwi.

VANCE Gdzie mogę się przebrać?

Bankier chichocze.

BANKIER Cóż za subtelny człowiek! Gdzie pan sobie życzy. Na przykład tam, w moim dawnym gabinecie. Chyba się jednak nie pomyliłem, oceniając pana... Pan naprawdę kocha sztukę.

VANCE Po prostu, kiedy wróciłem z wojny, nic innego mi nie pozostało.

Nie czekając na komentarz, otwiera przyległe drzwi.

84.

Ciemne pomieszczenie oświetla wąziutka strużka światła z łazienki i księżyc, który świeci przez odsłonięte okno. W kącie coś szeleści. Vance zdołał już rozebrać się do

bielizny i teraz widać, że ma na sobie dopasowany, szeroki skórzany pas z rzędem schowków. Sprawdza kieszenie pelisy i wyjmując kilka osobistych drobiazgów, chusteczkę, grzebień, portmonetkę. Trochę zdziwiony, odkrywa w wewnętrznej kieszeni ikonę, którą dostał w muzeum. Słychać kroki jego kontrahenta, podśpiewującego rosyjskie kuplety. I nagle ostry dźwięk telefonu.

VANCE Co to?

BANKIER Nic. Ktoś źle się połączył. Często słyszę takie głuche telefony donikąd. Kalesony też. Bezwarunkowo.

VANCE Ale zatrzymam łaskę.

Bankier znowu wybucha śmiechem.

BANKIER Pan sądzi, że będzie panu potrzebna? Ja pana nie zamorduję, ja tylko obedrę pana ze skóry...

VANCE I co mam zamiast nich włożyć?

BANKIER A to. Przykro mi, ale nic innego nie znalazłem.

Kupka szmat łąduje na podłodze. Vance z większym zdumieniem niż obrzydzeniem bierze do rąk sztukę po sztuce.

VANCE Pan żartuje. Przecież to nie nadaje się do włożenia. To się w ogóle do niczego nie nadaje. Niemożliwe.

BANKIER Zobacz pan, że w Rosji wszystko jest możliwe.

85.

W przerażająco podartych łachach, z głową owiniętą brudną chustką, Vance wysuwa się na ulicę, ściskając rysunki zwinięte w rulon i własną łaskę. Wciąż jeszcze jest ciemno. Mróz zapiera mu dech. Chciałby biegiem przebyć drogę do hotelu, ale w tej nędznej namiastce butów, którą ma na nogach, w żaden sposób nie może. Nieliczni przechodnie ze zgrozą oglądają wyjątkową nędzę Vance'a i jego groteskowe kroki.

Zza rogu wypada nagle czarne auto, najwyraźniej na ropy, w kłębach niebieskiego dymu. Kuśtykający Vance jedynie przez moment widzi przez zaszyroną szybę siedzącego z tyłu pasażera i wydaje mu się, że to Christiansen, duński kupiec o płomieniorudej czuprynie obrzucił go wszystkowiedzącym, ironicznym spojrzeniem, zaciągając się przy tym cygarem.

Auto oddala się szybko, Vance pokonuje dalej przestrzeń w zebranych szmatach.

86.

Nieprzytomny po przebytej drodze Vance wpada do swego hotelowego numeru. Nie dziwi go, że pokój jest, jak poprzedniego wieczora, otwarty i palą się wszystkie światła. Zesztywniały, wypuszcza tylko po drodze łaskę z rąk i odkłada rulon na stół, i natychmiast rzuca się do pieca. Otwiera drzwiczki. W popiołach jarzy się kilka słabych iskier. Vance odmrożonymi, drżącymi palcami próbuje rozniecić ogień, ale nie jest w stanie zapalić zapałki, by przyłożyć ją do niedopalonych kawałków drzewa. Wygarnia desperacko popiół, szaro-czarna chmura bucha mu w twarz. Wstrząsany dreszczami, na kolanach próbuje przetrzeć oczy, kiedy wchodzi trzech mężczyzn, dwaj czekaści i Daniła.

CZEKISTA I Ani śladu w całym hotelu.

CZEKISTA II Przecież mówiłem. Nie było go już, kiedy przyszliśmy. Nie wiadomo, czy tu w ogóle nocował. Portier twierdzi, że od przyjazdu w piątek spędził tu tylko dwie noce.

CZEKISTA I Trzeba sprawdzić, kto go gościł...

Pierwszy z nich, podniósłszy z podłogi łaskę, siada na łóżku. Drugi kładzie na to samo łóżko neseser. Bezceremonialnie zaczyna grzebać w bagażu Vance'a. Demon-

struje kolejno termofor, widelec, łyżkę, kalosze, tytoń do fajki, fajkę, dokumenty. Piersiówka ku jego rozczarowaniu okazuje się pusta. Z zainteresowaniem obraca w palcach porcelanową figurkę marynarza.

CZEKISTA II Patrz, co za skarby. A tu jeszcze coś ciekawszego.

Ogląda pod światło elegancki papier listowy. Rzuca na stół plan miasta i zwraca się do Daniły.

CZEKISTA II Zaraz nam pokażesz, którądy z nim siedłeś.

Jego kolega milczy. Bawiąc się otwieraniem ostrza łaski Vance'a przypatruje się, zafascynowany, klęczącej koło pieca nieruchomej postaci z umorusaną twarzą.

CZEKISTA I A cóż to za małpa?

Zanim Vance, który osłupiały śledzi ruchy czekistów, zdąży wymówić słowo, odzywa się Daniła.

DANIŁA To? To inwalida wojenny. Prosty chłop ze wsi, bezdomny. Czasami pomaga mi rąbać i nosić drzewo. Dzisiaj przyszedł do hotelu pierwszy raz. Pokazywałem mu, gdzie będę palić. Tu nie miał wchodzić, ale zobaczył, że otwarte, to i wszedł. Bałwan. On nie wie, kto tu mieszka.

CZEKISTA I Ma jakieś dokumenty?

DANIŁA Ma, ale nie nosi przy sobie. Przecież by zgubił, albo jeszcze by mu ukradli... Funkcjonariusz zwraca się jednak do Vance'a.

CZEKISTA I Nazwisko?

DANIŁA Popow. Iwan Iwanycz.

Skamieniały Vance milczy. Czekista nabiera podejrzeń.

CZEKISTA I Czemu się nie odzywa? Niech odpowiada! Czy znasz mieszkającego w tym pokoju Vance'a Abbotta?

DANIŁA On słabo słyszy. Właściwie rozmawiam z nim na migi. Prawie ogłuchł na wojnie. I nie mówi, odkąd Niemcy spalili jego wioskę. Stracił całą rodzinę. Nie całkiem jest przy rozumie.

Czekista I podchodzi bliżej do Vance'a. Jedna z dziur w łachmanach, załatana gazetą, świadczy korzystnie o jego tożsamości.

CZEKISTA I Biedak.

CZEKISTA II Co zrobić z tymi wszystkimi nieszczęśnikami...

CZEKISTA I Zobacz...

Rozwija leżący na stole rulon z rysunkami, z aktem Matisse'a na wierzchu.

CZEKISTA II Czyje to?

VANCE Maaaaa.....

CZEKISTA I Widać, że wszystko mu się miesza... Niech sobie lepiej tym głowy nie zawraca... No, popatrzcie, kobiety mu jeszcze na myśli... Ale to się nam akurat przyda...

Zgarnia wszystko, jednym ruchem wrzuca w otwarte drzwiczki pieca i podpala zapałką. Papier natychmiast bucha jasnym płomieniem.

Vance wydaje się z siebie głuchy dźwięk, bezdźwięczny ryk.

CZEKISTA II Co mu się stało?

DANIŁA On czasami boi się ognia, od kiedy spalili jego wioskę...

CZEKISTA II I rozpala piec?

DANIŁA Czyści. I nosi mi węgiel i drzewo...

CZEKISTA I Nieszczęsny człowiek...

Otwiera skózaną teczkę, którą ze sobą przyniósł, i wyciąga jakieś zawiniątko. Z białej szmatki odwija coś, co wygląda jak kawałek różowej kredy.

CZEKISTA I Mój szwagier przywiózł aż z Tuły, z podróży służbowej. Na, masz, Wania. Bierz. Postiła. Pewnie dawno tego nie jadłeś.

Wpycha osobliwy deser wprost w usta zdrętwiałego Vance'a.

CZEKISTA II O! A tu co masz?

Podejrzliwie patrzy na ostry kant za pazuchą nędzarza. Sięga ręką i natrafia na ikonę, którą Vance dostał w muzeum.

CZEKISTA I Co tam?

CZEKISTA II Nic, bzdura. Przesądne chłopstwo.

CZEKISTA I Zabierzcie go już stąd. Wygląda na chorego. Strasznie śmierdzi. Chyba... no wiesz.

DANIŁA Za pozwoleniem, towarzyszu majorze. To mu się nie zdarza. Może się przestraszył...

CZEKISTA I Czego? Nie jest nam potrzebny. Będzie tylko zawadzał, kiedy wróci ten szpieg angielski.

CZEKISTA II Jeśli wróci... To musi być niezły spryciarz...

CZEKISTA I Wróci. Nie zostawiłby tej laski. Musiał się schować gdzieś tutaj.

DANIŁA Mogę go wyprowadzić? Nie zna hotelu, zabłądzi w korytarzu...

CZEKISTA I Nie. Ty zostań.

DANIŁA Za pozwoleniem, towarzyszu majorze. Ja sam chciałbym za potrzebą...

CZEKISTA I Co, też się boisz?

Obydwa funkcjonariusze wybuchają serdecznym śmiechem. Daniła tylko się lekko uśmiecha.

CZEKISTA I Niech tam, idź, ale wracaj za trzy minuty. I ani słówka temu... Abbottowi, jeśli go spotkasz na schodach, pamiętaj. Nie rozmawiaj w ogóle z nikim.

Daniła bierze Vance'a pod ramię i niemal wywleka z pokoju.

87.

Kiedy znajdują się już na korytarzu, Czekista I sam zamyka za nimi drzwi. Daniła z determinacją ciągnie bezwolnego Vance'a w stronę bocznych schodów. W uchyłonych na moment drzwiach pokoju Morrisa pojawia się czujna twarz innego człowieka w skórzanym płaszczu, który mierzy wzrokiem dwóch zataczających się nędzarzy i zaraz się wycofuje.

88.

Na klatce schodowej dla służby, z półpięter na górze i na dole, patrzy na nich surowo umundurowana obstawa.

DANIŁA Wszystko w porządku. Towarzysz major kazał go wyrzucić...

Przed drzwiami udziela instrukcji wprost do ucha Vance'a, oczywiście po rosyjsku, bardzo wyraźnie i głośno, powtarzając dwa razy, od razu też usprawiedliwiając się przed czekistami.

DANIŁA Idź teraz tam, gdzie ja byłem wczoraj. Rozumiesz? On jest prawie głuchy, towarzysze, i niespełna rozumu... Nie potrafi zapamiętać ulicy.

Wypycha półprzytomnego Vance'a za drzwi, dla pewności kierując go ręką i kolaniem we właściwą stronę. Odprowadza go spojrzeniem, bardzo sceptycznym, bez wiary w ocalenie.

89.

Rozwidnia się. Vance pokonuje z trudem metr po metrze ulicę, gołą ręką jak wiośłem odpychając się od muru, ale wkrótce osuwa się na kolana, a potem ciężko siada przywierając plecami do ściany. Patrzy przed siebie pustym, szklanym okiem.

Nachyla się nad nim jakaś bezkształtna, grubo okutana postać.

Spod chustek wyziera twarz starej kobiety, która przemawia niespodziewanie łagodnym, wysokim głosem.

STARA KOBIETA Co ci jest, synku? Wstawaj. Nie możesz tak leżeć.

Vance nie reaguje.

STARA KOBIETA Wstawaj, no, wstawaj, synku. Nie powinno się umierać na ulicy. Nielzia.

Vance nieoczekiwanie zdobywa się na heroiczny wysiłek, by osiągnąć pozycję prawie pionową. Niemal natychmiast kuli się, potem znów wyprostowuje.

STARA KOBIETA Tak, tak. Dobrze. Idź, idź...

Vance chwiejąc się, próbuje utrzymać się na nogach.

STARA KOBIETA Dokąd chcesz iść, chłopcze? Dokąd? Powiedz, dokąd?

VANCE Ulica... Milionna...

STARA KOBIETA To tędy... Tędy, chłopcze. Idź, ruszaj się.

90.

Potyając się i staniając Vance wędruje dalej, już inną ulicą. Żona profesora, która nagle zjawia się przed nim, nie rozpoznaje go ani w pierwszej, ani w drugiej chwili.

PROFESOROWA Boże! Co się stało, na miłość boską?!

VANCE Rewizja... W hotelu... Nie wiedzieli, że to ja... Spalili...

PROFESOROWA Męża wzięli nad ranem. Też była rewizja, ale nic nie znaleźli, nawet pańskie czekoladki zostały. Zdążył mi powiedzieć, że może pan do nas przyjść. Krążymy tu cały czas czekając na pana, wszystkie trzy, w trzech różnych miejscach. Musi pan uciekać. O Boże, Boże zmiłuj się...

Nie wiadomo, czy Vance, pod którym uginają się kolana, cokolwiek słyszy i rozumie. W wąskim przesmyku widać wycinek placu Pałacowego i ogromną, kamienną stopę atlanta na pierwszym planie.



91.

Na pustym bulwarze nad rzeką spotykają się trzy kobiety, córki nadbiegają z dwóch różnych stron, by pomóc matce podtrzymać Vance'a. Jednak on w nagłym przypływie sił wyrywa się, roztrąca ich ramiona i zaczyna iść wielkimi krokami, pając przed siebie niewidzącym wzrokiem.

92.

Vance nagle widzi uśmiechniętą paszczę krokodyla, który wylazi na ulicę po schodkach, prowadzących na bulwar od niewidocznych kamiennych brzegów zamrożonej rzeki. Zmartwiły Vance patrzy, jak gad zaczyna iść esowatymi ruchami wprost na niego, wolno, lecz zdecydowanie, i dystans między nimi nieuchronnie się zmniejsza.

93.

Przerażone kobiety otaczają Vance'a, który upadł i nieprzytomny, z szeroko rozrzuconymi ramionami, leży na wznak na środku pustej jezdni.

94.

Vance tymczasem płynie lekko nad ziemią, już prawie cały we wnętrzu krokodyla, jedynie odrzucona w dół głowa i rozłożone ramiona wystają z zębatej paszczki.

Widzi nad sobą półkolistą ostrokół kłów ze skrawkiem porannego nieba, a potem tylko czelusć, dziwną przestrzeń, wielobarwną jak mapa nieznanego kraju, coraz jaśniejszą.

95.

Zrozpaczone kobiety deliberują nad nieprzytomnym.

PROFESOROWA Trzeba go przenieść.

SASZA Ach, żeby był Stiopa...

PROFESOROWA Szybciej, pośpieszcie się. Ja go wezmę za nogi, a wy pod ramiona.

NADIA Nieś go jak worek?

PROFESOROWA Tak, jak worek! Nadiu, nie stój, pomóż!

96.

W białej przestrzeni zamrożonej rzeki trzy zagubione kobiece postacie, borykające się dzielnie z ciężarem bezwładnego ciała.

97.

Pod mostem profesorowa oddycha ciężko, zmęczona wysiłkiem. Sasza uклада się z przewoźnikiem, jak widmo okrytym białą płachtą, który siedzi gotowy do drogi na koźle niskich sań, zaprzężonych w białą chudą klacz. Vance zsuwa się bezwładnie z siedzenia.

PRZEWOŹNIK Ale kapitan nic nie mówił, że to chory. Sam z nim nie pojedę. Trzeba go chyba przywiązać. Ktoś musi na niego uważać. Przecież widzicie same. To kawałek drogi.

NADIA Ja nie mogę.

SASZA Będziesz utrzymywać matkę i siebie i pracować na paczki dla ojca w więzieniu? Ja to potrafię, a ty – przecież nie.

NADIA Przecież ja wrócę! Wrócę, mam. Wrócę.

PROFESOROWA Tak, wrócisz, wrócisz, jak się uspokoi.

Zegnają się krótko, nawet oschle. Matka wtyka jej jakąś prostokątną paczkę, owiniętą pieczęlowicie w szmatkę, a potem błogosławi prawosławnym znakiem krzyża.

PROFESOROWA Trzymaj, na wszelki wypadek...

Sasza serdecznie obejmuje osłupiałą, stojącą sztywno siostrę.

98.

W korytarzu piwnicznego pomieszczenia dwie pary milczących żołnierzy mają dość miejsca, by tam i z powrotem przechadzać się swobodnie, bez przerwy, wolno i solennie jak na paradzie. Wzrokiem utkwionym gdzieś w daleką przestrzeń omijają oddzielony masywną kratą od korytarza rząd cel ze świeżo pobielonymi ścianami. Tłoczy się tam kilkudziesięciu mężczyzn w różnym wieku. Marynarze, robotnicy, inteligenci, więźni z ulicy, z fabryki, z domu, wprost z łóżka.

W pierwszej z cel jeden czyta małą książeczkę, drugi szkłem z okularów wydrapuje coś na ścianie, trzeci ogryzkiem ołówka zapisuje coś na mankiecie. Mała grupka z napięciem gra w karty.

W następnej celi jakiś więzień kiwa się miarowo. Ktoś modli się cicho, natrętnym, drażniącym szeptem. Ktoś ukrył twarz w dłoniach, a kiedy ją odsłania, okazuje się, że to młody monarchista, który zagadywał Vance'a na pożegnaniu karnawału.

W celi trzeciej, na twardej pryczy przy ścianie leży nieprzytomny Morris. Współwięzień, który pochylał się nad nim, niewykluczone, że lekarz, prostuje się, pewny własnej diagnozy.

WIĘZIEŃ I Ma szczęście. Tyfus. Nawet nie zauważy, kiedy trafi pod ścianę...

Któryś z towarzyszy celi skupionych wokół Morrisa odruchowo się cofa na słowo „tif”. Inny parska śmiechem. Chustką ociera choremu spoconą twarz.

WIĘZIEŃ II Czego się boicie? Rozstrzelanie... to najbardziej skuteczna kwarantanna... Dla wszystkich zresztą.

Ktoś inny zaczyna histerycznie wrzeszczeć, szarpać się przy kracie.

WIĘZIEŃ III Tu jest chory! Obywatel amerykański! Niech ktoś się wreszcie nim zajmie! Trzy dni bez żadnej pomocy. Już stracił przytomność!

Żołnierze, kontynuujący niewzruszenie swój spacer, nie zwracają na niego najmniejszej uwagi.

Szczęk masywnych drzwi, tupot butów. Do piwnicy wkracza oddział. W celach zapada cisza. Za żołnierzami wchodzi kilku czekistów w skórzanych kurtkach. Po płoch wśród więźniów, żołnierze brutalnie odpychają ich od krat.

W czwartej celi starszy i młodszy więzień wycofują się spokojnie pod ścianę w głąbi.

WIĘZIEŃ IV Która może być godzina?

WIĘZIEŃ V Druga minęła na pewno, może trzecia, może nawet w pół do czwartej...

WIĘZIEŃ IV W każdym razie ostatnia.

Zmieszane, zrozpaczone i zrezygnowane spojrzenia jego towarzyszy; jeszcze jakaś twarz z karnawałowej zabawy.

Oddział ustawił się na korytarzu w dwóch szeregach, z bronią gotową do strzału. Wszystko nabiera tempa.

FUNKCJONARIUSZ I Nie ruszać się!

Funkcjonariusz II wybiera z kółka odpowiednie klucze. Idą środkiem szpaleru żołnierzy.

W ostatniej celi przy kracie stoi robotnik, który brał udział w wiecu.

MÓWCA V Chcemy uczciwego procesu! Nie widzieliśmy nawet sali sądowej!

Zatrzymuje się przy nim jeden z czekistów.

MÓWCA VI Za obrazę rewolucyjnej władzy możesz dostać drugi wyrok. Taki sam.

Z którejś celi rozlega się potężny, stanowczy krzyk.

PLECZYSTY MARYNARZ Towarzysze, zwyciężymy! Kronsztad będzie walczył, Kronsztad nas pomści! Będzie jeszcze sprawiedliwość, wy łajdacy!

Czekista w wysokich wojskowych butach flegmatycznie gasi papierosa, rozdeptując niedopałek na betonowej podłodze.

FUNKCJONARIUSZ I Najpierw dla was.

FUNKCJONARIUSZ II A potem dla waszego Kronsztadu.

99.

Noc ciągle trwa. Na niewielkim podwórku osłoniętym wysokimi ścianami muru dwaj czekisci i pluton żołnierzy, którzy siłą spychają pod mur czwórkę skazanych. Chaotyczną egzekucją kieruje Funkcjonariusz I, ów zmęczony mężczyzna z mieszkaniem Baronowej, który teraz zdartym już głosem odczytuje wyrok, zagłuszany obelgami, oskarżeniami i beznadziejnym protestem.

Bezlądne okrzyki: „Niech żyje władza robotniczych rad!”, „Niech żyje wolność!”, „Precz z dyktaturą bolszewików!” Któryś zaczyna śpiewać „Międzynarodówkę”.

Rozstrzelanie powstańców kronsztadzkich.

Czekisci rozmawiają ze sobą, kiedy żołnierze przenoszą zwłoki na stos pod przeciwległą ścianę.

FUNKCJONARIUSZ I Dopilnuj wszystkiego, to będą już ostatni tej nocy.

CZEKISTA Już niedługo zacznie świtać. Możesz śmiało przespać się z godzinkę.

Dwa egzekucyjne szeregi żołnierzy ustawiają się znów naprzeciw muru, zasłaniając stertę ciał.

Uzbrojona eskorta wprowadza i stawia pod ścianą następną czwórkę, która nie stawia oporu. Morrisa wloką dwaj więźniowie. W pozornym zamieszaniu powtarza się procedura. Podczas monotonnego odczytywania wyroku przez Czekistę czwarty skazaniec, który nie podtrzymuje nieprzytomnego, zerka ukradkiem na ukryte w dłoni karty do gry, z asem pik. Lekarz stoi spokojnie, drugi współwięzień pluje w stronę plutonu egzekucyjnego, rzucając im przekleństwo: „Zebyście tę ścianę jebali!”, które ściera się zwycięsko z głosem Czekisty. Następne życzenie ginie już w szczękę repetowanych karabinów.

Kiedy rozlega się salwa, Morris osuwa się na ziemię, o ułamek sekundy wcześniej niż pozostali.

CZEKISTA Trzeba pogłębić ten dół. Widzę już, że nie starczy. Do roboty.

Tymczasem kilku żołnierzy ogląda leżące ciała. Dobijają ciężko rannego marynarza i wydobywają mu karty z ręki. Potem przechodzą do leżącego na wznak Morrisa. Ogarnia ich zdumienie i podziw.

ZOŁNIERZ I Patrz, chyba nawet nie draśnięty...

ZOŁNIERZ II Ten to ma szczęście...

ZOŁNIERZ I Uważaj, on jest chory... Podobno tif. Lepiej nie dotykaj tego płaszcza. Ładny, ale na pewno zawieszony.

Przystawia Morrisowi lufę nagana do potylicy i pociąga za spust.

100.

Podwórko z lotu wzbijającego się coraz wyżej ptaka, ze stosem zwłok, z ciałem Morrisa pozostawionym trochę osobno. Pod wysokim murem, naznaczonym białymi strupami po kulach, wykopany wąski, głęboki dół, w którym paru żołnierzy wyrąbuje bryły zmarzłej ziemi. Wszystko pokrywa noc, szczelna ciemność.

101.

Rzadki tłum, każdy idzie osobno nie wiadomo skąd i dokąd przez bezbarwną, nieokreśloną, szklistą przestrzeń. Idzie bankier Nienazwanow w cylindrze i uszytym na miarę nowym płaszczu. Idzie Sasza Winogradow, piękny chłopiec w bajkowym, białozłotym uniformie carskiego oficera. I wielu innych, nieznanych, ale kroczących z niezwykłą powagą mężczyzn, kobiet i dzieci, w różnym wieku.

102.

W niewielkiej, białej izolacji na łóżku Vance, zmieniony przez chorobę nie do poznania, wychudzony i zarośnięty, z twarzą błyszczącą od gorączki. Siada gwałtownie, odrzucając pościel.

VANCE Sasza! Sasza!

Stiopia, który przecież jest lekarzem, z trudem udaje się położyć go z powrotem.

STIOPA Woła swoją siostrę.

NADIA Albo mojego brata... Czy myślisz, że on wyżyje? Już jedenasty dzień leży w malignie. Prawie już nie mogę...

STIOPA A ja straciłem rachubę, ile dni nie spałem.

Pochyla się nad łóżkiem.

Nagle wybucha gęsta kanonada artylerii. Nadia, przerażona, otwiera drzwi na korytarz, przez który przebiegają w pośpiechu marynarze.

NADIA Co tak strzelają?! Ludzie, powiedzcie, na miłość boską!

Któryś z biegnących rzuca, nie zatrzymując się: „Atak na fort Totleben!” Lekarz podchodzi do Nadii z poszarzałą twarzą.

STIOPA To już koniec.

NADIA Boże...

STIOPA Nie mówię o nim. Tu jest jeszcze cień nadziei. Mówię o nas wszystkich. O rewolucji. O Kronsztadzie. Długo się nie utrzymamy, kiedy forty padną.

Wciąż nieprzytomny Vance jęczy, oddychając chrapliwie i oboje patrzą na niego niespokojnie.

103.

Mleczna mgła gdzieś między życiem a śmiercią rozplywa się i odsłania port, nadbrzeże, pełne mrowiących się ludzi, najwidoczniej na coś czekających.

W ułamku sekundy wszyscy znikają. Port pustoszeje, chociaż nie pojawił się żaden statek.

104.

W rzadkiej, nierównej tyralierze okutane postacie, marynarze i cywile, także kobiety, wędrują, każdy z niewielkim dobytkiem, po lodowej tafli zamrożonej zatoki. Ściga ich odgłos nieprzerwanego strzelających dział.

Vance podnosi powieki, wieszony na prowizorycznych sankach, okryty stertą jakichś splowiałych koców i kołder. Nad białą połacią, nisko nad horyzontem, wisi czerwona tarcza słońca.

VANCE Czy to... zachód czy wschód?

W jego polu widzenia zjawia się zasapana Nadia.

NADIA Zachód. Niedługo już będziemy w Finlandii.

Wracając do świadomości, Vance ciężką ręką dotyka swego zarośniętego policzka.

VANCE Jak długo...

NADIA Przeszło dwa tygodnie. Leżał pan w gorączce piętnaście dni.

Prostuje się i woła rozdzierająco, nawet nie rozglądając się, przed siebie, w pustkę.

NADIA Ludzie, zmiłujcie się, pomóżcie!...

Sanie ruszają sunąć szybciej, dwóch mężczyzn zastąpiło córkę profesora, która, potykając się ze zmęczenia, stara się nadażyć za nimi, nie spuszczać oka z leżącego.

Vance stara się wymacać swój pas z pieniędzmi. Przerażony próbuje się podnieść. Ciągający sanie oglądają się, nie zwalniając kroku. Dziewczyna w marszu próbuje poprawić jego okrycie i nachyla się nad nim, by uspokoić go półgłosem.

NADIA Wszystko w porządku. Nic nie zginęło. Proszę nie mówić, nie trzeba się męczyć.

Vance opada na swoje ruchome legowisko. Patrzy w niebo, nabierające koloru purpury.

VANCE Mój Matisse...

Nie udaje mu się stłumić dziecinnego żalu.

Ona uśmiecha się smutno. Też chce się jej płakać, ale stara się go pocieszyć.

NADIA Mam Kandinsky'ego. Ten obrazek, który wisiał u nas.

105.

Szacowny, zamożny i urządzony z konserwatywnym smakiem salon. Kandinsky na ścianie, wśród innych obrazów. Starannie rozmieszczone oleje, akwarele, grafiki i fotografie, a także mała ikona, wysoko w kącie. Przez podniesione okno wpada słońce, zachodzące nad wiosenną zielenią londyńskiego parku.

Staruszka z samozaparciem swych dziewięćdziesięciu lat z okładem, wraca na środek pokoju, podpierając się laską.

NADIA Siedź, siedź, dam sobie radę. Potrzebuję ruchu.

Alex opadając z powrotem na fotel, uśmiecha się do niej. Łudząco podobny do dziadka, różni się od Vance'a tylko fryzurą i współczesnym, dyskretnie ekstrawaganckim, stylem, z jakim obnosi swój dandyzm.

NADIA A ten przeklęty Francuz wysłał go na pewną śmierć. I po co ty tam jedziesz...

ALEX Wszystko będzie dobrze, babciu. Nie zginę. Tylko wciąż się zastanawiam, kto na niego doniósł.

NADIA Przecież każdy mógł to zrobić, po prostu każdy... Czasami jestem pewna, że to ten bankier... A może wpadł przypadkiem, przez tego szurniętego dziennikarza.

ALEX A z nim co się stało?

NADIA Dziadek szukał go, gdzie się dało. Nie wrócił nigdy z tej podróży. Może wywieźli go gdzieś dalej. Pewnie umarł w więzieniu na tyfus...

ALEX Babciu, będę zwracał uwagę na mycie rąk...

NADIA Nie wygłupiaj się, kretynie, kretynie... Rosja to nie zabawa, mój drogi. Co ty tam rozumiesz... Jestem pewna, że jak usłyszysz twój akcent, obedną cię ze skóry.

ALEX Jedź ze mną, babciu...

NADIA Ty co, zwariowałeś... Jeszcze gorzej niż twój świętej pamięci dziadek!

Macha w stronę jego portretu ze szczerą pogardą w oczach, tą samą, co wtedy, rankiem, na moście.

NADIA Wstydzili byś się tak okrutnie żartować. Po co mam jechać. Przecież serce by mi pękło z tęsknoty. Wszyscy umarli tak dawno... Tylko żebyś poszedł na cmentarz, pamiętaj! Dwa cmentarze, bo Sasza leży na tym dla ofiar blokady...

ALEX O wszystkim pamiętam.

Wstaje, by się już pożegnać. Ścisną się serdecznie i całują, babcia jeszcze pośpiesznie błogosławi wnuka prawosławnym znakiem krzyża.

106.

Rozświetlony słońcem Newski Prospekt, na którym roją się w radosnym rytmie początku lata turyści. Całkiem blisko błyska złota iglica Admiralicji. Alexa rozpiera radość. Jak inni cudzoziemcy, ogląda i chłonie miasto, którego nie widział Vance.

107.

Obok Maryjskiego Teatru samotne, stare kobiety z trudem przemierzające zbyt rozległą przestrzeń placu. Alex pomaga wejść na krawężnik staruszce, która mogłaby być jego babką.

108.

Gorochowa 2, kiedyś siedziba Czerezwyczajki, teraz niczym nie wyróżniający się budynek, który nie budzi żadnej grozy i nikogo nie interesuje. Tylko Alex robi tu zdjęcie ku zdziwieniu kilku tubylczych przechodniów.

109.

W petersburskim metrze Alex to wjeżdżając, to zjeżdżając ruchomymi schodami, obserwuje z natężeniem jadących w przeciwnym kierunku.

Staruszka, która żegna się raz po raz, nie wiadomo, czy ze strachu, czy z pobożności.

Mężczyzna w średnim wieku czyta angielską książkę.

Jego rówieśnik zahipnotyzowany płachtą rosyjskiej gazety.

Dwie chichoczące dziewczyny z ekstrawaganckim makijażem.

Twarz kobiety z pustką w oczach.

Kolekcja zmęczonych twarzy.

Punk.

Bezdomny z naręczem nędznych toreb.

Elegancko ubrany mężczyzna o inteligentnym spojrzeniu, który uśmiecha się do Alexa ustami pełnymi złotych zębów.

Zagapionego Alexa ktoś tak brutalnie usuwa ze swej drogi, że musi długo rozcieierać bolące miejsce, ciągle patrząc.

Ludzkie atomy poruszające się we wszystkich kierunkach na peronie podziemnej kolei.

110.

Cmentarz Smoleński. Alex, patrząc na kartkę z narysowanym odręcznie planem topograficznym, brodzi zagubiony w bujnej trawie, sięgającej niemal po pas. Ledwo widać rozpaczliwie zaniedbane groby.

111.

Grób z popiersiem Dostojewskiego w innej nekropolii. Słychać bicie cerkiewnych dzwonów. Alex stoi za ogrodzeniem, z ciekawością patrząc pisarzowi w twarz.

112.

Przelotna, ale rześista letnia ulewa. Wraz z kilkoma przygodnymi osobami Alex schronił się pod drzewo na nabrzeżnym bulwarze. Ktoś przygląda się chciwie aparatowi fotograficznemu.

KOBIETA Cudzoziemiec...

CHŁOPAK Pan jest turystą?

ALEX Niezupełnie...

CHŁOPAK A po co pan przyjechał do Rosji?

Nad Newą pojawia się rozpięty ogromny łuk tęczy. Wataha turystów, nie zważając na deszcz, przebiega jezdnię w szale fotografowania.

Alex, wymigując się z przepraszającym uśmiechem od odpowiedzi, wyskakuje spod drzewa i z obiektywem wymierzonym w niebo też naciska seriami migawkę, oparty o murek niedaleko schodków biegnących w dół, nad rzekę.

113.

Panorama placu Pałacowego, oszołamiająca doskonałością proporcji.

Alex, uśmiechnięty, wchodząc niemal w ramę okna, napawa się tym obrazem, który zdaje się wywierać na nim większe wrażenie niż płótna postimpresjonistów z kolekcji Nienazwanowa, wiszące obok, na ostatnim piętrze Ermitażu, skąd właśnie rozpościera się cudownie harmonijny widok.

114.

Z lotu ptaka, unoszącego się nad Pałacem Zimowym, panorama miasta, przeciętego srebrzystometaliczną taśmą rzeki.

115.

Na falach unosi się skrawek gazety, czerwona róża, butelka z ciemnego szkła i napis: „Powstanie wybuchło w Kronsztadzie 2 marca 1921 roku. Samotne miasto zostało zaatakowane 7 marca, zdobyte po zjadłych walkach 18 marca. Jego upadek przypieczętował ostatecznie władzę bolszewików.”



Kronsztad 1921; fot. A.M. Sedjakin